7 DNI

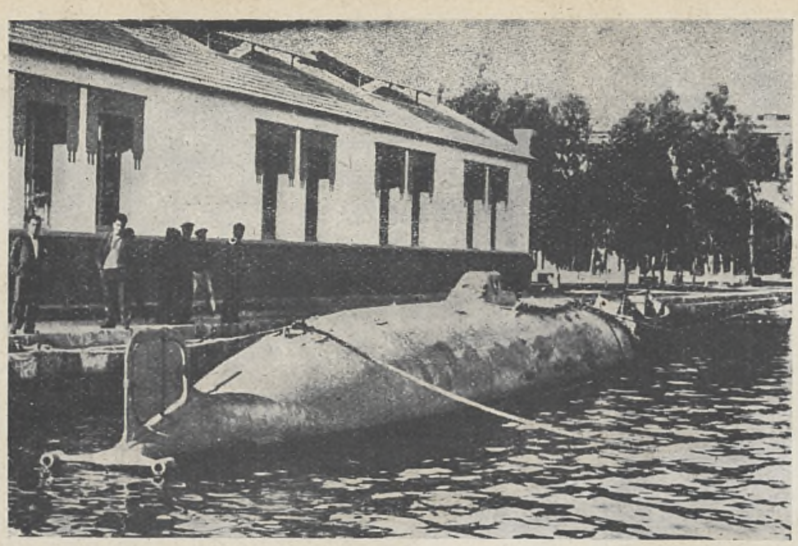
CENA 50 GR

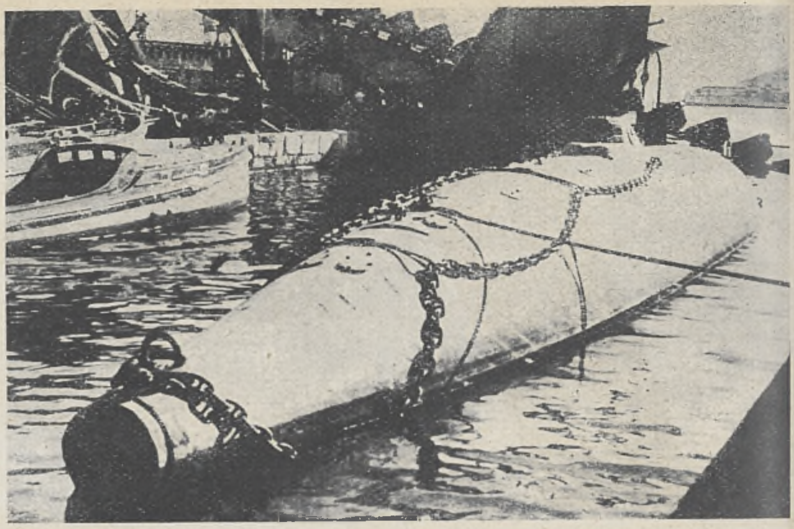
Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



10





Łódz podwodna „Peral" (od nazwiska wynalazcy) w porcie Kartageny (Hisz panja) wystawiona na pokaz publiczny, jako zabytek.

ŻEGLUGA PODWODNA

Ślady żeglugi podmorskiej odnajduje się w odległej starożytności np. u greków. Mowa tu jest naturalnie, raczej o pogrążaniu się w wodę na nieznaczne głębokości za pomocą mniej lub więcej prymitywnych przyrządów — aniżeli o właściwej żegludze, dla urzeczywistnienia której narodom starożytnym brakło środków mechanicznych.

Pierwszą wzmiankę historyczną o łodzi podwodnej spotyka się dopiero w XVII stuleciu, i to bez żadnych bliższych szczegółów.

Podobno holender Cornelius van Drebbel miał przewieźć króla Jerzego II pod Tamizą w statku swego wynalazku, ale jest to wersja bardzo wątpliwa.

Dopiero pod koniec XVIII-go wieku, w okresie wojny amerykańskiej o niepodległość, zjawiła się łódź podwodna Bushnell'a o tyle doskonała, że mogła wykonać atak podwodny na okręt nieprzyjacielski, za pomocą miny prochowej.

Drugi amerykanin, Fulton, przedstawił nowy typ statku podwodnego „Nautilus" rządowi francuskiemu w r. 1796, który uznał łódź za twór genjalny, jako „broń, która działa w milczeniu, i jest niezawodna".

Jak większość wynalazców Fulton doznał wielu przykrości, zanim Bonaparte, będący wówczas Pierwszym Konsulem, nakazał otworzenie dlań kredytu na budowę nowej łodzi podwodnej. Próby przeprowadzone pod Sekwaną dały rezultaty bardzo dobre.

Wskutek intryg i przeszkód różnego rodzaju Fulton porzucił Francję i udał się do Anglji, gdzie jednak doznał nader chłodnego przyjęcia ze strony rządu Jego Brytyjskiej Mości, który wogóle nie myślał o popieraniu projektów, grożących utratą hegemonji „Królowej Mórz".

Anglicy dali natomiast 375.000 franków Fultonowi, wzamian za zobowiązanie jego zaniechania wszelkich prac, dotyczących żeglugi. Nastąpił potem okres ciszy, a raczej prób bezowocnych różnych innych wynalazców, aż w r. 1863 zjawił się statek podwodny „Plongeur", który już formą swa, a głównie zastosowaniem w nim silnika do napędu (dotychczasowe łodzie bowiem używały napędu ręcznego), przypominał konstrukcje obecne. Doskonały model tego statku znajduje się obecnie w Luwrze. Po raz pierwszy zastosowano tu jako uzbrojenie, torpedę — ową straszną broń, której z czasem sądzone było stać się postrachem przeciwników. Wreszcie w r .1877 zjawia się łódź podwodna, poruszana elektrycznością, wynalazku polaka inż. Drzewieckiego, którego wielką ideę zmarnował rząd rosyjski, nie dawszy wynalazcy czasu na udoskonalenie swej łodzi, kazał zbudować 52 statki, chcąc je odrazu wykorzystać, jako broń morską. Oczekiwania te zawiodły, i łódź inż. Drzewieckiego spotkał los poprzednich statków.

Hiszpanja również ukazała się na arenie międzynarodowej, wypuszczając łódź wynalazku porucznika marynarki Perala, która przedstawioną jest na naszej ilustracji. Niestety zainteresowanie się Hiszpanji żeglugą podwodną było słomianym ogniem: przestano wkrótce zajmować się nią, i taki stan rzeczy przetrwał do ostatnich lat.

We Francji tymczasem po szeregu prób z nowemi modelami łodzi, w których częściowo była nawet wyzyskaną konstrukcja inż. Drzewieckiego, zjawił się wreszcie statek podwodny „Gustave-Zédé", który, po szeregu prób, polegających nawet na wypuszczaniu torped pod wodą, został uznany za jednostkę bojową, stanowiącą część floty wojennej.

Osiągnięte powodzenie pobudziło inicjatywę władz francuskich i hojność skarbu.

Od tego czasu zaczyna się budowa łodzi podwodnych we Francji na dużą skalę. Sąsiedzi też nie zaniedbują sprawy, ale z natury rzeczy muszą zadawalać się imitacją francuskich modeli, najdoskonalszych w owym czasie.

Wojna europejska, która niezaprzeczenie przyczyniła się do postępu w wielu dziedzinach techniki, pod względem konstrukcji łodzi podwodnych wniosła mało rzeczy nowych.

Podziw żywiony dla, jakoby genjalnej wynalazczości niemców, w omawianej tu dziedzinie, w czasach ostatniej wojny, zupełnie jest pozbawiony podstaw technicznych: niemcy absolutnie nie zrobili w tym czasie nic, co byłoby nieznane specjalistom innych krajów, lub czego nie możnaby było powtórzyć. Jeśli „wyczyny" ich przykuły uwagę świata, to tylko dzięki bezgranicznemu barbarzyństwu, jakiem odznaczyła się wojna podwodna, prowadzona przez nich, i na które nie stać było inne państwa.

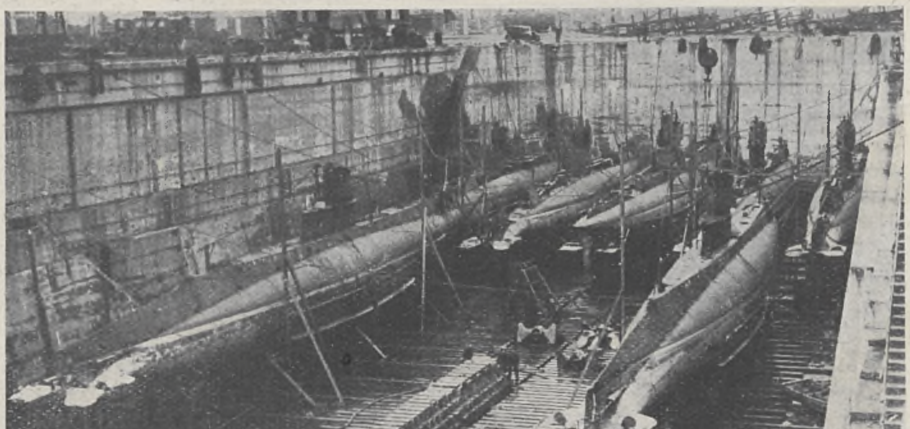
Należy zauważyć, że przed wojną niemcy byli zdecydowanymi przeciwnikami budowy łodzi podwodnych, i ich arcy-mistrz od floty, von Tirpitz, bezwzględnie oddał nieocenione usługi aljantom, sprawiwszy to, że Niemcy mieli bardzo mało łodzi podwodnych.

Pierwsza łódź podwodna w Niemczech powstała dopiero w 1903, i to, przez dziwną ironję losu — według planów inżyniera francuskiego.

W r. 1916 Niemcy postanowili olśnić świat handlową łodzią podwodną. Wtedy to „Deutschland" dokonała podróży z Kilonji do Ameryki i z powrotem. Ale los bliźniaczej „Bremen", która wpadła zaraz w ręce przeciwnika zniechęcił Niemców do „handlowych" spacerów pod Atlantykiem, i inne łodzie typu „Deutschland" zostały oddane władzom wojskowym.

Jeśli należy rozwiać legendę o technicznych cudach inżynierów niemieckich w dziedzinie żeglugi podwodnej, to trzeba natomiast zdumiewać się nad wydajnością ich stoczni. Zatopiono bowiem im 200 łodzi, odebrano drugie tyle, a około 150 zdołali jeszcze ukryć przed oczami komisji aljanckiej, coprawda nie na długo.

Tymczasem czasy „rozbrojenia", czasy powojenne, przynoszą coraz to nowe ulepszenia strasznych narzędzi walki podwodnej. Orjentacja, zdaje się, postępuje w kierunku nadania im coraz to większych wymiarów, zrobienia ich uzbrojeń bardziej morderczemi, stworzenia, jednem słowem, prawdziwych „krążowników podwodnych".



Eskadra amerykańskich łodzi podwodnych.

Inż. Z. Kacprowski



Minister Grabowski w czasie podróży w lasach Pancas. (na lewo)



Typy z Santa Catharina.

U POLAKÓW W GRAO PARA

Czterdzieści lat nikt tu z Polski nie zajrzał — odkąd zaczęliśmy trzebić tę puszczę — zapomniano o nas — żalił się nam stary, siedmdziesięciopięcioletni kolonista, ciesząc się jednocześnie, że dożył chwili, w której może chlebem i solą powitać przedstawiciela Rzeczypospolitej.

Właśnie z p. ministrem dr. T. Grabowskim, posłem polskim przy rządzie brazylijskim i p. konsulem Downarowiczem z Kurytyby zajechaliśmy tutaj na kolonję Gran Para po długiej i uciążliwej, acz niezmiennie malowniczej i ciekawej podróży konno i nie konno.

Tego zapadłego kątka, leżącego dosłownie za górami i lasami w stanie S-ta Catharina — nikt rzeczywiście dotychczas nie odwiedził.

Nie dotarł tu w ciągu czterdziestoparoletniego istnienia kolonji żaden z działaczy, literatów i delegatów, którzy przed wojną tak licznie Brazylję nawiedzali, że wspomnę tylko najwybitniejsze nazwiska R. Dmowskiego, Pankiewicza, Dygasińskiego, Hempla i innych.

Dotychczasowym kierownikom naszych placówek też nie udało się tu zawitać, a choć o Brazylję otarła się już i w polskich czasach spora liczba różnych podróżników wizytami ich były zaszczycane jedynie częściej przez wszystkich odwiedzane kolonje, więcej na traktach leżące, kolonistów zaś naszych w Gran Para głuche jeno wieści o Polsce dochodziły.

Już w Orleans, o kilkadziesiąt kilometrów odległem od kolonji, czekało nas dwudziestu kolonistów na koniach. Długą kawalkatą rozciągnęliśmy się na ścieżce, wąwozami nad rzeką Braço da Squerda, lub szczytami wzgórz prowadzącej.

Roztaczał się stąd cudowny, rozległy widok na trzy łańcuchy gór Morskich (Serra do Mar) ze szczytami dziwacznie postrzępionemi.

Po skwarnym, iście podzwrotnikowym dniu, nad wieczorem, o zmierzchu, który tu taj szybko zapada, dojeżdżaliśmy do celu.

Kopnął się widać ktoś z towarzyszących nam przodem, bo jeszcześmy byli daleko, a już wystrzelające w niebo „fogety" (race) dawały znać wszystkim, że polski minister i konsul nadjeżdżają.

Przy kościółku, przed bramą triumfalną, stanęły delegacje.

Witano chlebem i solą... między proste słowa powitania wdarły się łzy... łzy prawdziwego, szczerego przywiązania do tej starej ziemi, którą przed laty dla chleba porzucono.

W porządnym nowym budynku szkolnym znajdujemy troskliwie przez gosposie przygotowany posiłek i nocleg.

— Samiśmy tę szkołę zeszłego roku zbudowali — objaśniają nas z dumą. — Był nawet nauczyciel, dobrze uczył czytać po polsku, ale umarł biedaczysko. — A dziecisków jest sporo, Pan Bóg szczęści jakoś — chwali sobie pan Wroński, który ma 8 synów i 83 wnuków i prawnuków, a nie wszyscy nawet synowie jeszcze żonaci. Sam sobie tylko 75 lat liczy, ale i o tyle nikt by go nie posądził.

Ciekawe są dzieje tej gromadki pionierów.

Walka z dziewiczą puszczą — to nie żarty; borykanie się z właściwościami terenu i klimatu, to wiele krwią i znojnym potem pisanych kart w kronice kolonji Grao Para.

Nie tak dawno jeszcze prowadzono walkę z indjańskiem plemieniem Bugrów.

— Raz nam cały dobytek skradli — snuje ktoś barwną opowieść — skorzystali, żeśmy przy robocie byli, daleko od zagród. — Skradli... szukaj teraz wiatru w polu, indjanin, jak wlezie w las — przepadł! Ale jak się młode chłopaki nasze uwzięły, tropiły, tropiły, aż ich bodaj w toldo *) dopadli i odnaleźli prawie wszystko.

Innym razem zabito dwiema strzałami z łuku młodą dziewczynę.

Koloniści odszukali indjańskie toldo i wszystkich wymordowali, a szałasy popalili.

— Ano, jak wojna — to wojna!

Kiedyś, w czasie takiej „wojny", złapano dwóch kilkuletnich chłopców indjańskich. Jeńcy wychowywali się wśród kolonistów, jednym zaś zajął się ktoś tak gorliwie, że go aż oddał do miasta pod opiekę księży, którzy natchnęli go powołaniem do stanu duchownego.

— ... Teraz jest już proboszczem w Rio Grande do Sul — kończą nam interesującą historję.

Dziś indjanie, mający styczność z kolonją, są „omansowani" (czyli obłaskawieni, „ucywilizowani" — trudno powiedzieć) przychodzą nawet na robotę, ale kiepscy z nich robotnicy, duch puszczy zawsze ich wzywa do siebie. Nie mogąc tedy oprzeć się przewadze „bladych twarzy" ustępują pod ich naporem coraz głębiej i głębiej w lasy.

Przyjechaliśmy w sobotę wieczorem. Zeszło się z trzysta osób.

Gwarno było pod wysokiemi palmami, na których tle jaskrawo znaczyły się plamy barwnych chust i strojów wieśniaczych, takich, jakie noszono 50 lat temu. Nowsza moda nie przedarła się jeszcze dotąd przez lasy i góry i nie zmieniła ani oryginalnego uczesania kobiet, ani ich strojów wieśniaczych.

W niedzielę rano — nabożeństwo.

— Ale księdza nie mamy — skarżą się. — Czasem, raz na dwa, trzy lata przyjedzie ks. Chyliński z Cocalu, czasem ksiądz portugalczyk zawita, to my sobie sami nabożeństwo odprawiamy.

Sędziwy Wroński usiadł w pierwszej ławie wyjął odwieczna, pewnie jeszcze z kraju przywiezioną książkę do nabożeństwa odczytał ewangelię, naukę, modlitwy różne.

A potem popłynęła pieśń „Boże coś Polskę" i zdawało się nam wszystkim, że jesteśmy znów w kraju ojczystym, bo też w tych lasach głębokich Polska była tak wielka i czysta, że nawet młodzież i dzieci, choć na tej ziemi zrodzeni, prócz starej mowy i dziadów, żadnej innej nie znali.

Stefan Łoś.



Droga koło wąwozów lasów Santa Catharina.

Szkoła polska w Memie.



CZŁOWIEK PARADOKSU

„Moje fabryki, prędzej zniszczą wojny, aniżeli jakiekolwiek kongresy; w dniu, kiedy dwie walczące ze sobą armje, wyginą w ciągu jednej sekundy, ockną się wszystkie cywilizowane narody i rozbroją nazawsze swych żołnierzy". Słowa te wypowiedział Alfred Nobel w r. 1892, kiedy, po jakimś kongresie pokojowym, spotkał się w Zurychu z bojowniczką pacyfizmu Bertą von Susttner. Powiedzenie to wręcz paradoksalne, miało jednak bardzo głęboką treść. Niszczyć — by budować. Wydawało się ono tem bardziej dziwne, że wyszło z ust największego fabrykanta broni i materjałów wybuchowych XIX stulecia.

*

Alfred Nobel urodził się w Szwecji, 21 października 1833 r. Od najwcześniejszej młodości poświęcił się on technice, chcąc być pomocą swemu ojcu i starszemu bratu. Mając lat 16, praktykował w warsztatach u ojca, który pragnąc, by syn jego został inżynierem-mechanikiem, wysyła go do Ameryki. Tam uczy się u szwedzkiego konstruktora okrętów, Johna Ericsona. Jako 21 letni młodzieniec powraca do Europy i wstępuje w charakterze inżyniera do fabryki swego ojca, który pracuje w Rosji nad wyrobem pocisków armatnich i torped.

Trwająca podówczas wojna krymska, wkłada ogromne obowiązki na fabrykę Nobla, dzięki której Rosja może skutecznie bronić swej twierdzy, Sebastopola, oraz przygotować się do obrony Kronsztadtu. Jednakże, z chwilą zawarcia pokoju, Rosja przerzuca większą część swojch wojskowych zamówień zagranicę. Nobel, niemogąc wytrzymać tej konkurencji zwija fabrykę i wraz z synami powraca do rodzinnej Szwecji, by tam zająć się fabrykacją materjałów wybuchowych. Interesy idą coraz gorzej. Brak gotówki niepozwala, na rozwinięcie przedsiębiorstwa. Wtedy to młody Alfred Nobel udaje się do ówczesnego serca Europy, Paryża, by tam postarać się o odpowiednie środki materjalne. Wtedy już, po bliższem zetknięciu się z grozą wojny, z jej strasznemi następstwami, jak głód, nędza, ruina gospodarcza i kulturalna, postanawia wprowadzić w życie swój plan, któremu poświęca następnie całą swoją niestrudzoną działalność. Przeczuwając, że w miarę postępów techniki i wynalazków, ludzie będą się starali konstruować coraz bardziej precyzyjne narzędzia śmierci, decyduje się na wytężenie wszystkich sił swego genjalnego umysłu, by przyśpieszyć ten proces, o ile możności najwięcej i doprowadzić wojnę do absurdu. Będąc dobrym psychologiem rozumie, że ludzkość jest jak małe dziecko, które dopóty bawi się ogniem, dopóki sobie dobrze rąk niepoparzy.

Przybywszy do Paryża, trafia na niezbyt przychylną dla siebie atmosferę. Wielcy bankierzy i drobniejsi kapitaliści grają na giełdzie, tworząc niezliczone towarzystwa akcyjne, fikcyjne, czy też faktyczne, przyczem niemają wcale zamiaru lokować pieniędzy, w tak niebezpiecznym towarze, jakim jest materjał wybuchowy. Zrozpaczony Nobel chwyta się wreszcie ostatniej deski ratunku i zainteresowuje swoim projektem cesarza Napoleon III, który zajmował się wszelkiemi przedsięwzięciami z zakresu techniki. Nie mając, w swej prywatnej szkatule dość pieniędzy na subsydjowanie planów młodego inżyniera, poleca go poprzeć finansowo bankierowi *Pereire*. Ten, pożycza Noblowi sto tysięcy franków na wybudowanie fabryki. Z tą chwilą rozpoczyna Nobel swoją, napozór, złowróżbną działalność. Pierwszem jego dziełem jest zastosowanie nitrogliceryny dla celów technicznych, dzięki czemu budowa tuneli, oraz górnictwo zyskuje niepowszednią pomoc w swych pracach. 15 lipca 1864 r. otrzymuje Nobel pierwszy swój patent, od Królewskiego Szwedzkiego Instytutu Handlowego. W miesiąc później, fabryka nowowynalezionego produktu wybuchowego wylatuje w powietrze, grzebiąc pod gruzami setki robotników, oraz najmłodszego brata Nobla. Opinja całej Szwecji oburzona jest na władze, które zezwalają budować tego rodzaju fabryki. Nobel otrzymuje od rządu zakaz zajmowania się swemi niebezpiecznemi pracami. Jest to cios dotkliwy; jednak nie łamie żelaznej woli wielkiego pacyfisty. Kupuje stary okręt i za resztę pieniędzy urządza sobie na nim laboratorjum, w którym bez przerwy kontynuuje swoje doświadczenia.

I tu zdarza się nowy, ciekawy paradoks w jego życiu. Zniszczenie jego fabryki, było potrzebne by powstało ich setki. Eksplozja, a właściwie jej siła, zainteresowała dwuch kapitalistów, którzy przybywają do Szwecji i wespół z Noblem zakładają Towarzystwo Akcyjne dla wyrobu nitrogliceryny. Budowa tunelu w pobliżu Stockholmu dowodzi niezbicie, że, przy zastosowaniu pewnych środków ostrożności, użycie nitroglicervny dla celów górniczych staje się niezbędne. Nobel otrzymuje ponowne zezwolenie od rządu na budowę fabryki. Wkrótce powstaje fabryka w Hamburgu, a następnie w Norwegji. W rok później szczęśliwy przypadek pozwala Noblowi dokonać nowego wynalazku. Do szklannego naczynia, w którem znajdowało się trochę nitrogliceryny, dostaje się szczypta materjału, z którego zazwyczaj przygotowywano opakowanie. Z tej mieszaniny powstał samorzutnie jakiś płyn, dający po wysuszeniu proszek łatwo wybuchający. Nobel, zaobserwowawszy to zjawisko przeprowadza cały szereg doświadczeń i w rezultacie otrzymuje dynamit, czterokrotnie silniejszy od nitrogliceryny. Po wynalezieniu dynamitu rozpoczyna się zawrotna karjera Nobla. Karjera ta również ma swój początek w przypadkowych eksplozjach, które niszczą domy, okręty i zabijają ludzi. Wtedy to dopiero amerykanie, zainteresowawszy się temi wypadkami, zwracają się do Nobla z propozycją kupna jego patentu. Powstaje wielkie towarzystwo pod nazwą „United States Blasting Oil Company" z siedzibą w New-Yorku, które zakłada około 8 fabryk, w całem państwie. Równocześnie Nobel buduje swoje zakłady w całej niemal Europie, wchodząc jako główny udziałowiec do rozlicznych towarzystw akcyjnych. Najwięcej trudności napotyka w Anglji, która mając podówczas największe w Europie kopalnie węgla potrzebowała koniecznie dużych ilości silnie-wybuchowych materjałów. Po długoletnich pertraktacjach parlament angielski zakupuje patent Nobla i zakłada w Szkocji olbrzymie przedsiębiorstwo, pod nazwą „British Dynamite Company". W rok później zakłada Nobel, również w Szkocji, drugą swą fabrykę z kapitałem zakładowym pół miljona funtów szterlingów. Ponieważ przewożenie dynamitu, drogą morską, czy też lądową nastręczało poważne niebezpieczeństwa, a dynamit okazał się środkiem wybuchowym, potrzebnym nieomal we wszystkich częściach świata, powstają wkrótce nowe fabryki w Japonji, południowej Afryce i Kanadzie.

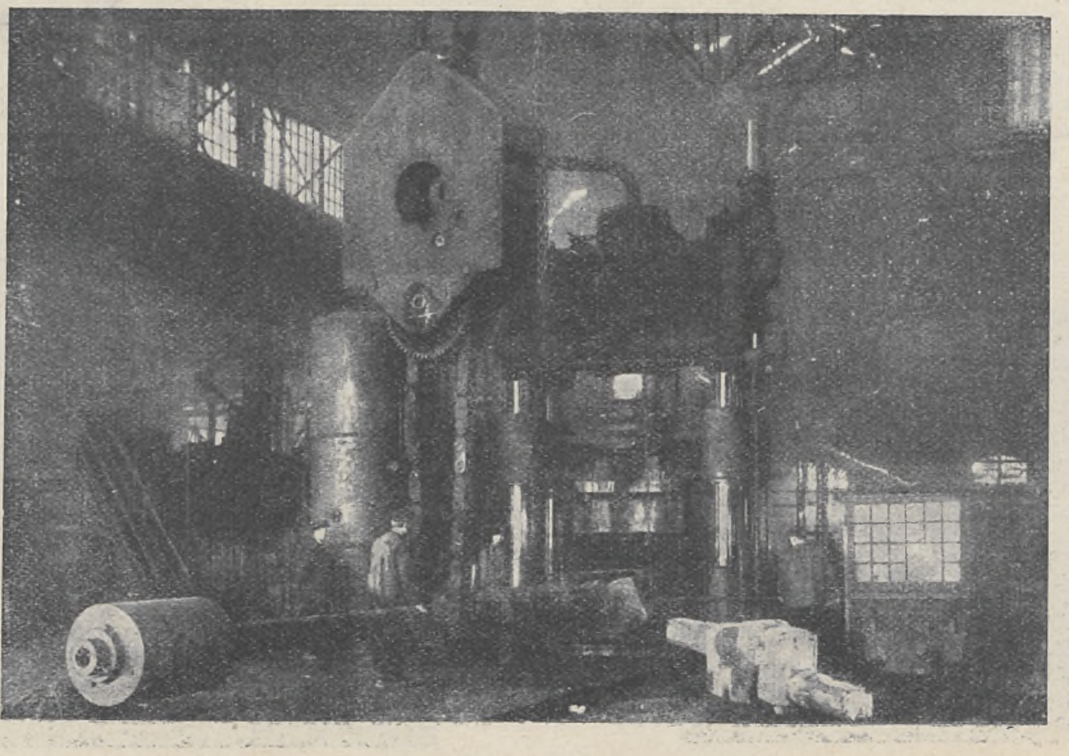


Alfred Nobel, człowiek paradoksu, fabrykant broni i pacyfista.

Szybka ta karjera, skromnego szwedzkiego inżyniera, nie każe mu spoczywać na laurach i nie zamyka mu oczu na wyciąganie jaknajdalej idących korzyści materjalnych. Jest on zarówno genjalnym wynalazcą, jak i zręcznym finansistą. Postanawia stworzyć jeden wielki, ogólnoświatowy trust, pod swoim zwierzchnim kierownictwem. Udaje mu się to po licznych trudnościach, przyczem centralę swoją zakłada pod Paryżem, skąd rozsyła po całym świecie dyspozycje i rozporządzenia. Dyrektorowie wszystkich jego przedsiębiorstw, rozsianych po całej kuli ziemskiej, tak wierzą w swego patrona, że nawet w drobiazgach udają się do niego po pomoc i radę. A faktycznie godzien on jest ich szacunku. W ciągu swego życia uzyskał 120 patentów na swoje wynalazki. Niektóre z nich robił zupełnie przypadkowo, w okolicznościach niemających nic wspólnego z jego pracą laboratoryjną. Pewnego razu zranił się w palec. Chcąc zatamować krew zalał rankę przy pomocy kollodjum. Ponieważ jednak ból palca niepozwalał mu spać, wstał w nocy i chodząc po mieszkaniu zaszedł do prywatnego laboratorjum. Tam, oparłszy się o stół oglądał swój zraniony palec. Na stole, przed nim znajdowała się, w jakimś naczyniu, nitrogliceryna. W tej chwili nastąpił u niego szybki proces myślenia. Kollodjum i nitrogliceryna. Skojarzenie tych dwuch materjałów może dać w rezultacie jakiś tajemniczy — trzeci. Natychmiast zasiadł do pracy i otrzymał żelatynę wybuchową, która jest najsilniejszym środkiem wybuchowym.

Wkrótce potem wynalazł, nazwany przez siebie, „balIityt", proch bezdymny, używany obecnie przez cały świat.

Życie Nobla, zostało pod koniec wstrząśnięte atakami politycznemi ze strony niechętnych mu szowinistów francuskich, którzy zarzucili mu sprzedawanie ościennym państwom rozmaitych swych, nowych wynalazków, przed przedłożeniem ich władzom francuskim. Nobel jednak, który twierdził, że jest obywatelem całego świata i tam jest jego ojczyzna, gdzie znajduje pracę, niedał się złamać. Przeniósł się do San Remo, gdzie w willi „Mio Nido" — moje gniazdko



Fragment fabryki broni, Alfreda Nobla, w Szwecji.

oddaje się dalej swym pracom wynalazczym. Stamtąd kieruje fabryką broni i pocisków armatnich, którą założył w Szwecji. Otoczony swymi asystentami pracuje bez wytchnienia, aż wreszcie znajdują go kiedyś martwym, w jego gabinecie pracy, 10 grudnia 1896 roku.

Często wygłaszane przez Nobla zdania o konieczności pacyfizmu i o braterstwie narodów, stały w jaskrawej sprzeczności z jego czynami. To też uważano powszechnie, że wygłasza makabryczne paradoksy, robiące z niego ekscentryczną postać. Dopiero po otwarciu testamentu przekonano się, że ta gorączka w dokonywaniu coraz to groźniejszych materji wybuchowych, że udoskonalanie przezeń pocisków armatnich było chęcią uczynienia z wojny rzeczy tak strasznej, ażeby wreszcie wojna sama zabiła się przez swą grozę. W myśl dyspozycyj pośmiertnych, wszystkie kapitały miały być wycofane z fabryk broni i amunicji i sfinalizowane. Powstały w ten sposób kapitał, wynoszący 36 miljonów koron szwedzkich, został przeznaczony na wypłacanie nagród ludziom zasłużonym w pracy pokojowej. Nagród tych jest pięć: trzy pierwsze przeznaczone dla wynalazców w dziedzinie fizyki, chemji i medycyny, czwarta dla pisarza, którego działalność literacka nigdy nie wykraczała z dziedziny ideału i piękna, piąta wreszcie dla tego, który położył zasługi na polu stworzenia wiecznego pokoju. Nagrody te winny być wypłacane jedna co roku, w kolejności wyznaczonej testamentem. Wykonawcy testamentu otrzymali szczegółowe instrukcje, któremi winni się kierować przy rozdzielaniu nagród.

Wielki Alfred Nobel sumiennie wprowadził w czyn zasadę swego życia. Stwarzał najokrutniejsze wynalazki, nie przeciwko ludziom, ale przeciwko wojnie. Paradoksalne jego aforyzmy, nie były czczem pozowaniem na oryginalność. Przewidział, że wynalazczość ludzka doprowadzi wreszcie wojnę do absurdu. A jego powiedzenie o dwuch wzajemnie wyniszczających się w ciągu sekundy armjach, niedaleko odbiega dzisiaj od rzeczywistości w epoce „luizytu" i „fioletowych promieni".

(g.)

CZY WIECIE ŻE...

...genjalny pisarz angielski Bernard Shaw wynalazł nowy sposób nauczania języków przy pomocy gramofonu. Zastosowanie tej metody zwanej „Linguaphone", pozwala tanim kosztem, o dowolnej porze dnia naukę, przyczem płyty zostały nagrane przez najlepszych znawców języków. Niedawno został założony instytut linguaphoniczny w Polsce.

*

...największe kopalnie złota znajdują się w Transwaalu, w Afryce Południowej. Na drugiem miejscu idą Stany Zjednoczone, na trzeciem—Kanada.

*

...słońce wysyła w ciągu dnia letniego na każdy hektar ziemi tyle ciepła, że zamienione w pracę dałyby one 17.000 koni.

*

...Wenecja leży na 118 małych wysepkach połączonych zapomocą 378 mostów.

*

...największy spotykany w historji wzrost mężczyzny wynosi 275 cm, najniższy—42 centrymetry.

*

...badania naukowe stwierdziły, że prawa ręka jest o 10 procent silniejsza od lewej, prawe ramię — o 28 procent silniejsze od lewego.

*

...w prowincji Hannover zniesiono tortury dopiero r. 1840.

*

...szyny kolejowe całego świata mają długość 1 miljona kilometrów. czyli trzy razy tyle co odległość od ziemi do księżyca.

*

...od czasów faraonów słoneczny system planetarny zmienił swe położenie we wszechświecie o 500 miljonów mil.

*

...w Sjamie jest bardzo rozpowszechniona kradzież... słoni. W roku 1926 skradziono 33 słonie, wartości pół miljona franków. Skradzionych słoni nie udało się odnaleść.

*

...na całym świecie używa sie rocznie około 47 miljonów ton nafty. Przed czterdziestu laty światowe użycie nafty wynosiło zaledwie 1 miljon ton rocznie.

*

...w Stanach Zjednoczonych wypada na każde 11.000 ludności jeden miljoner. Najbogatszym człowiekiem świata jest John D. Rockfeller, którego majątek szacują na przeszło miljard dolarów.

POJEDYNEK U ESKIMOSÓW

Pojedynek, jako forma rozstrzygnięcia zawiłego sporu, jako akt żądzy zmycia hańby, jako próba zemsty, jako obrona honoru, istniał wszędzie, i prawdę powiedziawszy, do dziś dnia istnieje.

Niegdyś, w granicach Europy oficjalnie uznawany i popierany, dziś oficjalnie zakazany, lecz w formacjach wojskowych jeszcze uznawany za konieczny, przetrwał już długie wieki, zmieniał formy niejednokrotnie, niby to bardzo złagodniał, lecz przecie nie wykluczył śmiertelnego wyniku, który np. w obecnych czasach w żadnym kraju nie jest rzadkością. I nie każdy wie, że u niektórych ludów pierwotnych, które pojedynek oficjalnie uznają, walka ta nie kończy się *z zasady* śmiercią. Pojedynek ten, *widocznie za konieczność poczytywany, skoro istnieje,* odznacza się jednak tak humanitarnemi formami i przepisami, że warto mu się na przykładzie przyjrzeć.

Przeniesiemy się więc na chwilę do smętnego kraju biednych Eskimosów, i przypatrzymy się nieco ich codziennemu życiu. Jest to życie bardzo ciężkie i bardzo pracowite. Ustawiczna walka z surową przyrodą, codzienne naprężenie nerwów i sił zahartowały ten lud przedziwnie, i nauczyły go cenić życie ponad wszystko. Życie to słoneczny, jedyny skarb, nie wolno go lekceważyć, należy strzec bezustannie i godnie szanować. Własne i cudze. Każdy człowiek jest potrzebny. Któż go zastąpi, jeśli zginie przedwcześnie? A brak jego odczuje cała gromada!

Życie jest piękne, ale i trudne. To sztuka. Umiejętnie trzeba żyć i mądrze, trzeba umieć żyć. Bo oto codziennie zdarzają się jakieś spory i kłótnie, waśnie i nieporozumienia, trzeba je jakoś *rozstrzygać.* A więc jest i pojedynek, ale pojedyneg oryginalny, w którym nie gra żadnej roli broń czy pięść, jest to bowiem *pojedynek pieśni.*

Odbywa się to tak: obrażony wyzywa formalnie przeciwnika, i obaj ustalają porę i miejsce spotkania. Zazwyczaj odkłada się walkę do nastania lata, a za miejsce spotkania wyznacza się jeden z licznych obozów, możliwie największy. Przeciwnicy przybywają już przygotowani, t. j. z odpowiedniem zapasem pieśni dawnych lub przez siebie ułożonych, co nie wyklucza jednak *improwizacyj w czasie boju,* często porywających przygodnych słuchaczy. W czasie śpiewu każdy z przeciwników tańczy i uderza w tamburin. Treść pieśni to dzieje przewinień i grzechów przeciwnika, tak opowiadane i śpiewane, *by wroga zmusić do śmiechu.* Przegrywa ten, kto się więcej śmieje i *ostatni* się śmieje. Przegrana nie rzadko bolesne powoduje skutki. Gromada bowiem wierzy, że ten, który przegrał, jest winien, i otacza go pogardą i gniewem. To też często pokonany emigruje odrazu w inne okolice.



Jeden z pojedynkowiczów przygotowuje się do walki. Bęben i pałeczka są pomocne podczas śpiewu.

Ten oryginalny pojedynek pieśni i śmiechu rzuca snop jaskrawego światła na pierwotną, a jednak głęboką, mądrą i przewidującą, kulturę Eskimosów, wypływającą niewątpliwie nietylko z fanatycznego umiłowania życia, ale i utajonego, *gromadnego marzenia* o polepszeniu warunków tego życia, i znamionuje ten wieczny pęd wzwyż, ku lepszemu. Lud, który walczyć musi z ciężką, dziewięciomiesięczną zimą, z brakiem opału i żywności, z ślepą a potężną *wolą przyrody,* która mu codziennie śmierć gotuje, musiał wyrobić w sobie *potężną wolę życia,* gdyż w przeciwnym razie przejrzałby wśród zimnych śniegów. I z tej potężnej, choćby jeszcze niezupełnie uświadomionej, lecz *naczelnej,* woli życia wytryska cała kultura eskimoskiego ludu. Kultura ta chroni przedewszystkiem życie człowieka, jako siłę przeciwstawiającą się grozie przyrody, a więc potrzebną wszędzie i zawsze.

To naczelne zrozumienie sprawia, że ludowi temu niepotrzebny jest rząd i prawo, żyją gromadami i rządzą się sami,, a pomimo to rozlew krwi jest tam niesłychaną rzadkością.

W. P.

„BIAŁY WĘGIEL"

Dymiące kominy, ziejące rozpaloną lawą wielkie piece, tryskające snopami iskier, dziwaczne „gruszki Bessemera" i pełzające węże kolei żelaznych — są uważane za synonimy bogactwa i dobrobytu danego kraju.

Aby osiągnąć ich poziom, aby puścić w ruch i zasilić zachłanne organizmy maszyn, potrzeba węgla — dużo węgla...

Dlatego też węgiel jest jednym z tych terminów nomenklatury gospodarczej, który obok słowa „pieniądze" najczęściej bodaj spotyka się w debatach ekonomistów, w bilansach handlowych państw, na kongresach przemysłowych, i zjazdach kolejowych.

W imię węgla, podpisuje się i zrywa traktaty, tworzy się syndykaty — wreszcie uruchamia laboratorja, których zadaniem jest badać sposoby zaoszczędzenia drogocennego minerału.

Kraje posiadające węgiel — bogate przez to samo — czynią wysiłki, aby osiągnąć z jego sprzedaży najwyższe korzyści ekonomiczne a czasem nawet i polityczne. Kraje pozbawione węgla — starają się go dostać na najlepszych warunkach, stwarzając najkorzystniejsze warunki dla swego przemysłu.

Zużycie węgla wciąż wzrasta w szybkiem tempie, co znajduje łatwe uzasadnienie w ogromnym rozmachu, z jakim rozwijają się przemysł i koleje.

W samej Francji np. produkcja węgla, wynosząca w r. 1850 tylko 8 miljon. tonn, w r. 1900 wzrosła do 32 miljonów, a w roku bieżącym wyniesie pewno nie mniej od 55 miljonów!

Zapasy węgla, w całej Europie, obliczano według ostatnich statystyk na 700 miljardów tonn, a dodając do tego pokłady węglowe w innych częściach świata, przyjęto jako minimalną ilość bogactwa węglowego na kuli ziemskiej 4.000 miljardów tonn, co nawet przy silnie wzrastającem spożyciu węgla, zabezpiecza ludzkość na jakieś pół tysiąca lat.

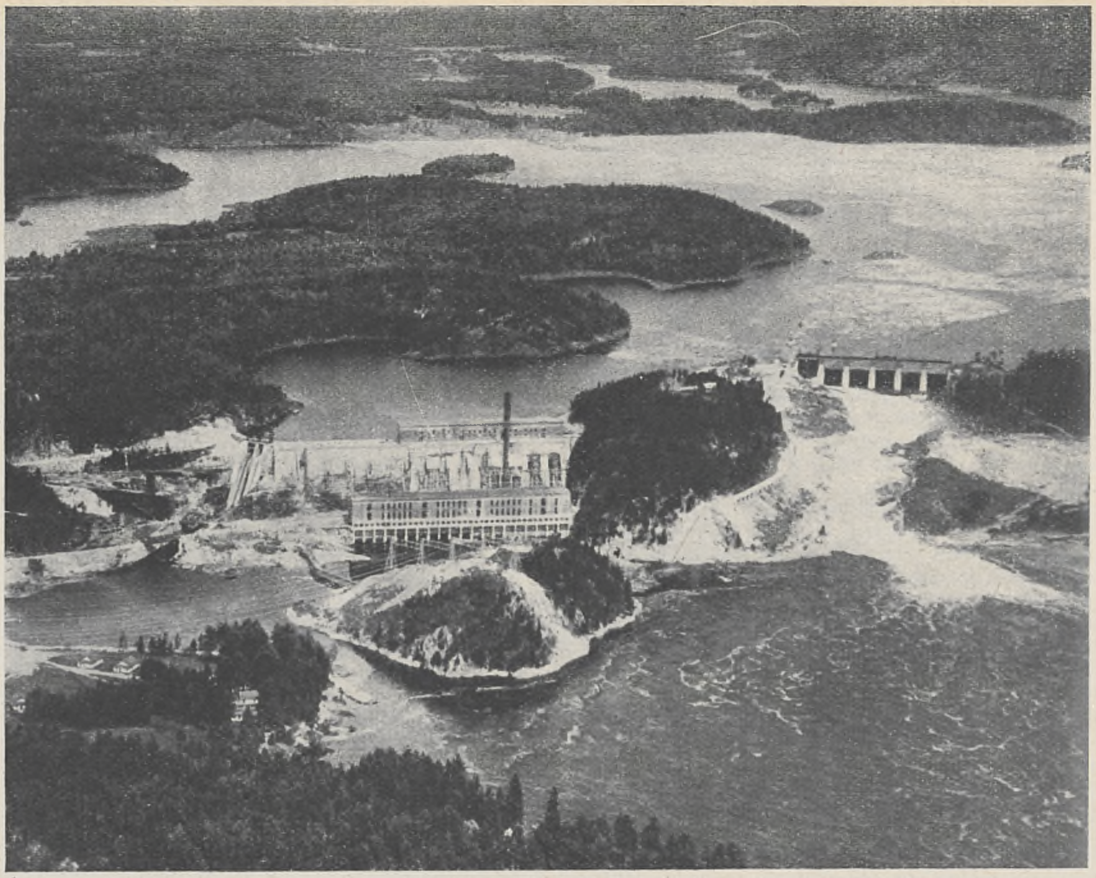
Ewentualny zatem brak węgla nie należy oczywiście do tych trosk które mogą spędzać sen z powiek naszemu i bezpośrednio następującym pokoleniom.

Wynalazczość ludzka, postawiona przed koniecznością, znajdzie niechybnie źródła energji, eliminujące użycie węgla, znacznie wcześniej, aniżeli ostatni jego pokład zostanie zużyty.

Tymczasem zgoła inne względy wskazały już technikom olbrzymie i niewyczerpane zbiorowiska energji, jakiemi są wodospady i rwące potoki w górskich okolicach. Energja, pochodząca z nich otrzymała poetyczną nazwę „białego węgla".

Niespożyta moc tych źródeł, zaledwie częściowo wyzyskanych na kuli ziemskiej, otwiera szerokie horyzonty dla tych krajów, których natura nie wyposażyła w czarny węgiel.

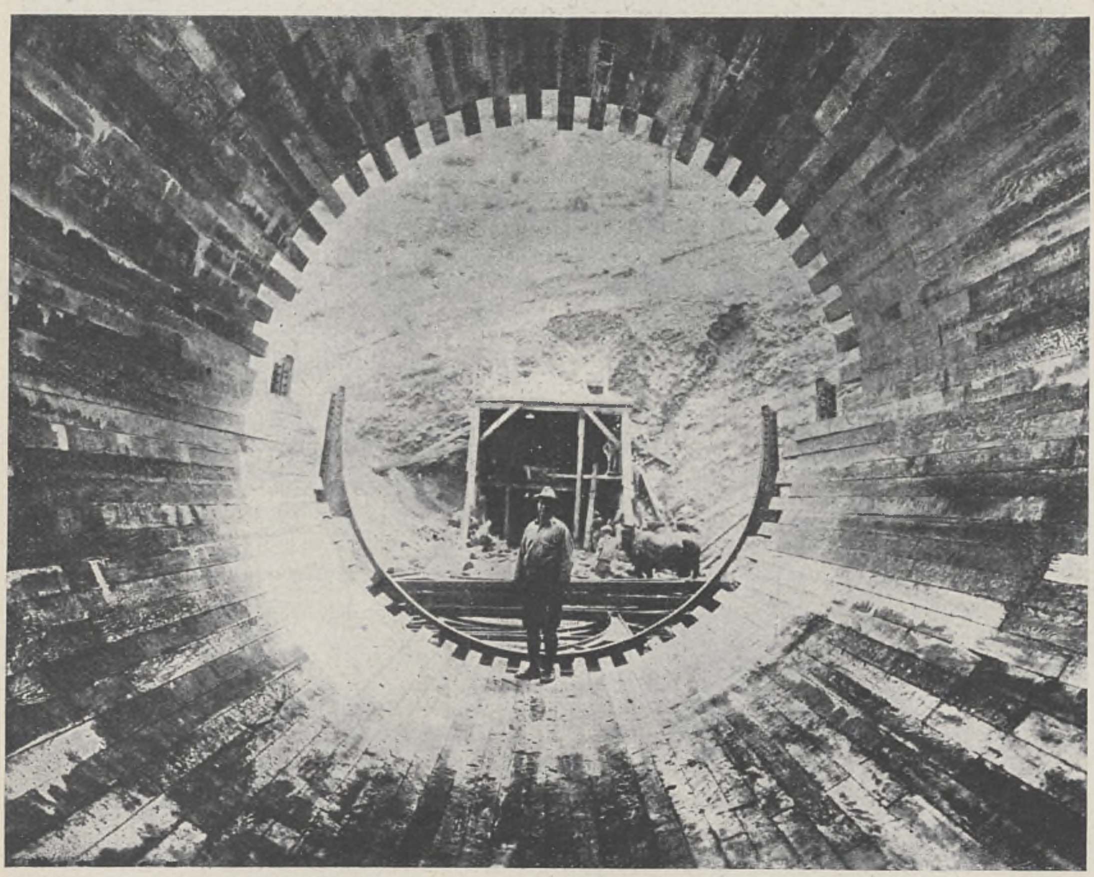
Ale nietylko dla tych.



Typowa elektrownia wodna, tak liczna w Szwajcarji i południowo-zachodnich Niemczech.

Perspektywa bowiem czerpania niemal za darmo setek tysięcy i miljonów koni parowych z przyrodzonych bogactw natury jest tak zachęcającą, pomimo konieczności zwalczenia nieraz znacznych trudności i wyłożenia, jednorazowego ogromnych kapitałów, że t. zw. elektryfikacja, czyli zamiana białego węgla na energję elektryczną, jest obecnie wypisaną na pierwszem miejscu programów ekonomicznych wszystkich państw cywilizowanych.

Tania energja elektryczna, to tania produkcja wielu towarów, to usprawnienie kolejnictwa, to wielki krok w kierunku podniesienia hygieny siedlisk ludzkich, przez oczyszczenie ich z dymu, a przedewszystkiem, to wprowadzenie taniej siły napędnej i światła elektrycznego pod strzechę chłopską, a więc czyn *par excellence* kulturalny.



Przekrój olbrzymiego przewodu, przez który woda — „biały węgiel", przedostaje się do turbin.

Najdogodniejszym sposobem wyzyskania „białego węgla" jest zaprzęgnięcie do pracy spadów, otrzymanych przez wysokie położenie naturalnych jezior górskich.

Takie stacje spotyka się często w Alpach i Pirenejach.

W wypadkach mniej korzystnych — gdy chodzi o potoki górskie lub rzeki, nasuwa się konieczność wykonania specjalnych tam, podnoszących poziom wody, często z dużym nakładem pracy i pieniędzy, a nieraz i z narażeniem życia pracujących.

Energja wody, spadającej z wysokości, zostaje skaptowana za pomocą turbin, które w grubych linjach przypominają znane wszystkim koła wodne młyńskie, różnią się zaś od ostatnich doskonale opracowaną budową, formą łopatek odpowiadającą warunkom największej wydajności, i nader dokładnem wykończeniem.

Wielkie zasługi w tej dziedzinie położyli amerykanie Francis i Pelton, których nazwiskami są ochrzczone dwa najbardziej używane tu rodzaje turbin.

Wirowy ruch turbiny w prosty sposób oddaje się maszynie wyrabiającej prąd zmienny, zwanej alternatorem. Obie te jednostki, stanowiące całość, tworzą grupę, nazywaną turboalternatorem.

Pozostaje teraz sprawa rozesłania prądu na znaczne odległości w różnych kierunkach.

Pierwsza próba tego rodzaju została wykonaną w r. 1882 przez francuskiego inżyniera Despretę na odległości 14 kilometrów, i wykazała zalety jego systemu.

Energja więc elektryczna idzie ze stacji do miejsc przeznaczenia po przewodach, zawieszonych na specjalnych kolumnach żelaznych.

Dla powodów, o których wspominać tu nie będziemy, przesyłanie energji na odległość jest tem korzystniejsze, iż wyższe jest napięcie prądu, idącego po przewodach.

W miarę tego napięcia, woltaż prądu wzrasta stale w najnowszych urządzeniach.

We Francji istnieje szereg stacji, pracujących na napięciu 120.000 woltów. Kolej Południowa, używa prądu o 150.000 woltów; na Wystawie w Grenobli w r. 1925 demonstrowano części instalacji na 220.000 woltów, a Ameryka przekroczyła już i to ostatnie napięcie.

Prąd, płynący w przewodach, posiada własności zabójcze, z powodu swego napięcia, i nie może być używany w tej postaci przez konsumentów.

Przepuszcza się go więc na miejscu przez przyrządy, redukujące napięcie, i noszące spotykaną powszechnie nazwę — transformatorów.

Po wyjściu z nich, energja elektryczna gotowa jest do usług, wysokość których ocenia się przez liczniki, ustawione u konsumentów, w prozaicznych złotówkach, frankach czy też dolarach...

(Dokończenie na str. 16-tej.)


ELIDA
COLDCREAM
CITRON
ELIDA
KREM
Co godzinę
Nie
załłuszczający
KREMY
ELIDA
są najdoskonalszą pielęgnacją cery.
Na dzień krem Elida Co Godzinę — chroni cerę od wiatru i ostrego powietrza. Wnika całkowicie w skórę i nadaje jej gładkość i świeżość.
Na noc Coldcream Elida — oczyszcza i ożywia skórę, leczy opierzchnięcia.
ELIDA
WARSZAWA

PITIGRILLI.

KURACJA HOMEOPATYCZNA

— Gdzie jesteśmy?

— W Grosseto.

Młody profesor egiptologji próbował ująć za rękę doktorkę medycyny, ale mu ją energicznie wyrwała.

Drzwiczki otworzyły się nagle i do wagonu wygramoliła się stara jejmość, z pieskiem, draśniętym jak i ona zębem czasu. Oboje rozglądać się poczęli i węszyć dookoła, a spostrzegłszy, że obie ławki są prawie puste, opadli na nie z westchnieniem ulgi, patrząc z ukosa tak, jakby przepraszały za najście.

Egiptolog przyjrzał się z wściekłością nowym towarzyszom podróży, i przygryzłszy wargi, uspokoił się nagle, tak, jakby znalazł sposób ocalenia.

— Herodot, — wyrzekł z profesorską powagą, pyszniąc się swoją świeżo upieczoną docenturą — Herodot opowiada, iż Egipcjanie, chcąc zabalsamować trupy, wycinają z nich najpierw wnętrzności, robiąc duży otwór w boku, poczem specjalnemi haczykami wyciągali po kawałeczku mózg przez dziurki od nosa i przemywali otwory aromatycznemi olejkami. Chcąc wyciągnąć całą zawartość z czaszki, potrząsali niemi energicznie, tak jak się robi z butelkami, na dnie których pozostał osad z wina. Następnie usta i nos napychano mirrą, i różnemi sproszkowanemi ingredjencjami. Gdy nacięcia zostały już zeszyte, kładło się faszerowanego trupa do kąpieli z węglanu sodu i pozostawiało w niej przez 70 dni. Poczem lakierowało się go, smarowało smołą, zawijało w ceratę, i w ten sposób powstawała mumja, która była doręczana rodzinie.

Profesor odwrócił się, aby skonstatować jakie wrażenie zrobiły na leciwej damie jego słowa.

Leciwa dama wstała z ławki, wykrzywiając usta, i pociągnęła za sobą siebie i swego pieska na korytarz, gdzie wpatrywać się zaczęła uważnie w przesuwający się szybko krajobraz.

Rozweselona doktorka roześmiała się, przyczem promień słońca wydobył na jaw wszystkie piegi na jej twarzyczce.

— Miała genjalną myśl!

— Niestety, całkiem bezcelową, proszę pani, bo ze swą okazałą tuszą nie pozostanie zbyt długo w ciasnym korytarzu.

Istotnie, stara pani cofnęła się do wagonu, by pozwolić przejść jakiemuś panu, a przekonawszy się, że młodzi nie poruszają już tematów makabrycznych, rozsiadła się na dawnem miejscu.

— Sposoby nowoczesne, będące w najczęstszem użyciu — ciągnęła doktorka, aby nie dać jej łudzić się zbyt długo — polegają na wprowadzeniu do żył substancji przeciwgnilnych, a więc cjanku potasu, arszeniku i kwasu siarczanego. Dziurki od nosa i żołądek myje się substancją antyseptyczną, poczem otwory naturalne zatyka się masą, smaruje się skórę mieszaniną soli srebra, i składa trupa do kąpieli z siarczanu miedzi. Miedź powleka zwłoki piękną metaliczną barwą, która czyni je podobne do posągu z bronzu.

— Niech pani zobaczy, zasnęła, jak Boga kocham! Pani sposób balsamowania trupów jest tak niezawodny, że służy także do balsamowania żywych. Zdaje się, że nasza damulka będzie chrapać do samego Rzymu.

Wbrew przewidywaniom, wiedźma na pierwszej stacji obudziła się.

— Wysiada.

Nie wysiadła jednakże. Kupiła sobie gazetę, rozłożyła ją na opisie kradzieży maszyny do pisania, spojrzała czule na swego pieska i zabrała się jednem okiem do czytania.

— W tej walizce, — zawołał młodzieniec, — mam wspaniałą mumję pewnej córy faraonów, skazanej na śmierć za to, iż utrzymywała stosunki miłosne z kapłanem, w świątyni Osirisa. Czy pani życzy sobie ją zobaczyć?

A kiedy zrobił taki ruch, jakby istotnie chciał otworzyć walizę, dama, wystraszona, przycisnęła do piersi swoje zwierzątko i powędrowała szukać sobie miejsca na samym końcu pociągu.

W godzinę później młodzi wysiedli razem na stacji i wsiedli do tego samego powozu.

— Pani mieszka tutaj?

— Tak.

— Przy rodzicach?

— Sama.

— Przyjdę do pani.

— Niech pan przyjdzie.

— Pojutrze?

— Można nawet jutro.

— Po piątej?

— Po piątej spodziewam się gości w pracowni.

— Przed piątą zatem?

— Wizytuję chorych w szpitalu.

— A więc rano?

— Rano pracuję. Niech pan przyjdzie wieczorem.

Harrieta Wellingson zdała doktorat medycyny w Filadelfji, i rozmiłowała się w homeopatji, według systemu Samuela Hahnemna. System ten nie cieszy się uznaniem wiedzy oficjalnej w Europie, ale w Ameryce, dzięki ruchliwej reklamie, zapędza w kozi róg całą medycynę.

— Bo widzi pan, tłomaczyła doktorka egiptologowi, — nasze zabiegi polegają na tem, że dajemy choremu maleńkie dawki lekarstwa, a dawki te, zastosowane u osobnika zdrowego, wywołałyby objawy chorobv, którą chcemy zwalczyć. Senes naprzykład, który jest rośliną strączkową — uspokaja momentalnie kolkę żołądkową, podczas gdy wywołuje ją w organizmie zdrowym. Gdy się naciera śniegiem zmarzniętego, nie jest że to kuracja homeopatyczna? *Similia similibus* przyjechała go leczyć, i przyrzekając wzamian przykład jeszcze bardziej przekonywujący, przypomnę, że ipekakuana wywołuje wymioty, a jednocześnie służy do zapobiegania im.

— W ten sposób — zauważył ironicznie towarzysz — temu, kto połknął dwadzieścia gramów areszeniku, dałaby pani drugich dwadzieścia, a wtedy byłaby pani pewna, że udało się go uratować? Czy tak?

*

Przed miesiącem, pewien bogaty pacjent wysłał z Rzymu depeszę do Filadelfji, prosząc, aby przyjechała go leczyć, i przyrzekając w zamian za życie połowę swoich dóbr doczesnych. A gdy we dwa tygodnie później znalazła się na Piazza di Spagna, usłyszała bicie dzwonów żałobnych z Trinita dei Monti i zobaczyła pogrzeb tak okazały, jakby chowano jakiegoś indyjskiego księcia. Był to pogrzeb jej pacjenta, który nie mógł doczekać się wyładowania statku i, zamiast połowy swej własnej fortuny, zapisał jej całkowitą schedę po ojcach.

Wtedy piękna doktorka kupiła sobie wielki pęk kwiatów u podnóża schodów i poszła na herbatę do Babingtona.

Od tego czasu chodziła tam regularnie codzień przez trzy lata.

*

„...choroby leczą się z łatwością temi samemi środkami, które wywołują je w innych okolicznościach..." Czy mam dyktować wolniej?

— Nie, niech pani dyktuje jak się pani podoba. Idźmy dalej.

Profesor Emil Giudri poddał się z radością słodkiej niewoli. Co wieczór odwiedzał ją i pisał pod jej dyktandem kilka stronic długiego studjum, przeznaczonego dla poważnego wydawcy. Nauczył się stenografji dziesięć lat temu, wtedy, kiedy nie pozostawał pod urokiem mumij, sarkofagów i papyrusów; ale od dnia, gdy młodzieńcze jego serce zabiło silniej przed statuą Pacht'y, małżonki Ptah'a, zaniedbał stenografowane hieroglify, ponieważ wydało mu się, że ubliżającym anachronizmem jest zamiana obrazkowych liter „Księgi umarłych" na akrobatyczne zgłoski metody Gabelsberger-Noë. Dzieło z przed dwóch tysięcy lat przed Chrystusem stanowczo nie odpowiada pismu przyszłości.

— Pan umie stenografować? — zapytała Harrieta Wellingson.

— Nie mam jeszcze wprawy.

— Postaram się o to, aby pan ją zdobył.

Istotnie starała się o to przez szereg miesięcy.

Jednakowoż stenografja, nie będąca niczem, jak sztuką szybkiego pisania, powinna pozwalać zyskiwać na czasie; ale zabierała mu codzień kilka cennych godzin. Studenci uniwersytetu zastanawiali się ze zdziwieniem, dlaczego profesor Giudri, który z takim zapałem i taką swadą rozwijał przed nimi swój szeroki pogląd na świat, opierający się na nowych i oryginalnych odkryciach od niejakiego czasu zanudza ich z uporem osiemdziesięcioletniego grzyba. Chwilami przerywał wykład i odbiegał od tematu, albo zamyślał się tak, iż nie słyszał szmerów i szeptów w wielkiej sali. Poczem powracał do przerwanego wykładu, zapominając o czem mówił poprzednio.

— Napewno jest zakochany, — stwierdziła na jednym z wykładów młoda słuchaczka.

— W kim?

— Od czasu, gdy go zdradziła urodziwa Mirit, małżonka Kha, piastującego urząd tępiciela szczurów w grobowcu tebańskim, poprzysiągł na błyszczące wody Nilu, że nigdy nie pokocha żadnej kobiety.

— A jednakże widzieliśmy go w *tea-room'ie* z kobietą, — oświadczyła w imieniu dwóch koleżanek inna, modnie ubrana panna.

— U Babingtona?

— Tak jest. Z Angielką, która pochłaniała *toast'y* z wdziękiem młodej małpy.

— I *toasted-scones* — potwierdziła inna.

— I *muffins'y* — dodała sąsiadka.

— I *puff-pastrys!* — wykrzyknął student, by podtrzymać ogólną wesołość.

— A jak wygląda jego *sweethearth?*

— Jak pani powiedziała?

— *Sweethearth*, słodkie serce, — przetłomaczyła modna panienka, naśladując akcent angielski.

— Szczupła.

— Wyperfumowana.

— Czem?

— Powinna tylko perfumować się zapachem sarkofagu, aby się spodobać naszemu profesorowi. A więc ambrą, drzewem sandałowem i kauczukiem...

— Hovenią i nardem.

— Aloesem i cynamonem.

— Terpentyną i eukaliptusem.

— Ale co to była za kobieta?

— Z pewnością była to *ibis*.

Amerykańska doktorka nie była *ibisem*. Przeciwnie! Była mądrą kobietą. Pewnego wieczoru, gdy żółte światło lampy, stojącej na biurku owej tajemniczej strażniczki, podnieciło jego zmysły, i gdy uderzył mu do głowy zapach więdnących w pokoju kwiatów, wraz z zapachem młodego ciała, profesor odłożył pióro, aby wyznać pannie swoją miłość. Ona jednak ze stanowczością, z zawziętością i z zimną krwią dyktowała dalej teorje Edwarda Jennera — tego co to zastrzykując po raz pierwszy surowicę przeciw ospie, bezwiednie położył kamień węgielny pod gmach homeopatji.

(*Dokończenie na str. 17-tej.*)

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

na znalezienie TYTUŁU do powieści

Stanisława Strumph-Wojtkiewicza

Sąd konkursowy rozważył kilkaset propozycyj, nadesłanych z całej Polski. Większość członków JURY wypowiedziała się za nadaniem powieści takiego tytułu, któryby najlepiej odmalował współczesne warunki wielkomiejskie, grożące poślizgnięciem na drodze życia i nawet pogrążeniem się w odmęt błędów naszej młodzieży — czystej w intencjach, idealizującej ludzi, wierzącej w swoją gwiazdę przewodnią, kierującej się młodą ufnością i gorącem sercem. Pozatem tytuł nie powinien być banalny, nie powinien też zapowiadać taniej sensacyjności.

Warunkom tym odpowiada tytuł:

„GRĄŻ"

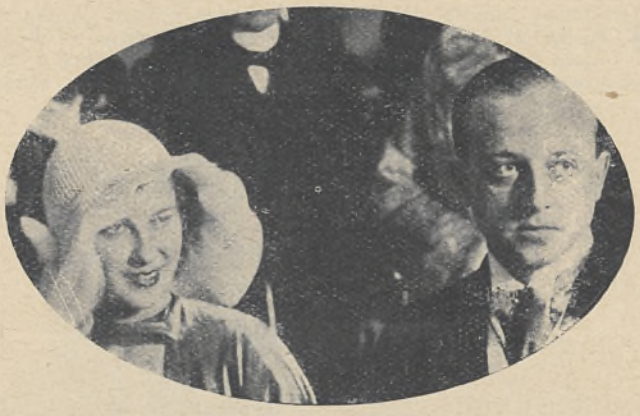
(Grąż — słowo staropolskie, oznaczające według Lindego „błoto, brud do pogrążenia się.")

Tytuł „GRĄŻ", pod którym książka ukaże się wkrótce; nadesłał P. JERZY RUFFER, student filozofji, zamieszkały przy ul. FILTROWEJ 83 m. 3.

O dniu wręczenia nagrody w postaci 1.000 zł. nastąpi osobne zawiadomienie.



Mistrzem światowym łyżwiarstwa na r. 1930 został Ballangrud, który osiągnął szybkość 10.000 m. w 17 m. 53 s.



Mis Europa 1929, urocza p. Simon zaślubiła przed kilkoma dniami p. Pawła Brammera.



Król duński, Gustaw I, wziął udział w regatach w Cannes na yachcie „Dana", należącym do p. Graase.



Firma Philips otworzyła w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej stałą wystawę radjową, która cieszy się zasłużonem powodzeniem.



Sprawa gen. Kutiepowa nie przestaje budzić powszechnej sensacji we wszystkich sferach. Małżonka generała, którą widzimy na fotografji, wdrożyła sprawę cywilną.



Rzecznikiem powództwa generałowej Kutiepowej w Paryżu został znany adwokat Campinhi, którego wystąpienia publicznego oczekują z powszechnem zainteresowaniem.



Najnowszy typ samochodów firmy „Tatra", przystosowany do wycieczek myśliwskich. Posiadaczem pierwszego wozu tego typu w Polsce jest Maurycy hr. Potocki.



Były dyktator hiszpański Primo de Rivera zamieszkał chwilowo w Paryżu.



Minister Briand z jednej strony, oraz ambasador turecki w Paryżu, Fethi Bey, podpisali w imieniu rządów swoich wzajemny układ.

CO SŁYCHAĆ NA ŚWIECIE

Jakże radzi jesteśmy stwierdzić ostatnio, że broń, którą Niemcy lubili skrycie walczyć przeciw innym narodom, popierając knowania Sowietów, obraca się przeciw nim samym. Burdy komunistów niemieckich, organizowane przy współudziale licznych przedstawicielstw handlowych na terenie Rzeszy oraz przez grasujących agentów G. P. U. — obudziły w całym kraju żywe zaniepokojenie. Bito się na ulicach Berlina, bito się i masakrowano w Hamburgu i w Monachjum. „Schupo" używał jak mógł, broniąc zaatakowanej pozycji „Vorwaertsu" (w którym wybito wszystkie szyby), wytoczono kulomioty, zabawiono się w manewry „na ostro". Praktyka nader cenna — na wszelki wypadek!

*

Nie mniej „wesołe" wiadomości dochodzą z Rosji. Walka z religią walka z „kułakami", mordy i dzikie represje — we wszystkiem tem czytać może zechcemy (według recepty z Moskwy) zwycięstwo idei Marksa nad zgniłym Zachodem, który ośmielił się wystąpić z protestem przeciw poczynaniom czerwonych. Wszak nie kto inny, jak naród zamyka chramy Boże i niszczy sprzęt kultu wiary, a jeśli biskupi anglikańscy solidaryzują się z wystąpieniem Ojca Świętego, toć przecież jasne, że „cuchnącemi naftą" deklaracjami pragną wywołać czynne wystąpienie przeciw Rosji. Kutiepow — o tem się nie mówi — znikł, kto go tam wie dokąd — tak przynajmniej zapewniał premjera Tardieu, łykając pastylki na uspokojenie nerwów, Ekscelencja Dowgalewskij. Indochiny?... Cóż z tem mają wspólnego Sowiety? To samo w Meksyku, w Grecji — na całym świecie.

Cały świat atoli inaczej zdaje się zapatrywać na niewinność Z. S. S. R. i Francja pierwsza zrywa stosunki dyplomatyczne z Moskwą.

I na Wschodzie bez zmian... Lecz przejdźmy lepiej na inny temat, bo jeszcze oskarżą nas o rozpowszechnianie wojowniczych nastrojów.

*



Lotnik ang. J. H. Haars, który od r. 1928 jest rekordzistą światowym szybkości, zamierza dokonać podróży naokoło świata w 12 dni.



Lotnicy francuscy, mjr. Weiss i Girier dokonali przelotu z Pondichery do Paryża (z dłuższym przystankiem w Rzymie) w 4 i pół doby.

Exposé, wygłoszone przed kilkoma dniami przez min. Curtiusa w Reichstagu na temat planu Younga i ugody z Polską nie przestaje być sensacją, która poruszyła szerokie sfery polityczne na świecie. Okazało się bowiem z całą jasnością, iż Niemcy bynajmniej nie myślą o spełnieniu tego planu, cieszy ich natomiast, iż dzięki wielu furtkom, które sobie otworzyli w toku debat haskich, mogą się zwolnić bez żadnej kontroli od zrealizowania odszkodowań (w razie kryzysu ekonomicznego), a ponadto, co najważniejsze, żadne już nie mogą zagrażać im sankcje, przewidziane przez traktat wersalski. Traktat — według odwiecznej maksymy politycznej naszych sąsiadów — jest tylko świstkiem papieru. Naodwrót zato, w stosunku do Polski, Niemcy w niczem nie zmienili kursu swej polityki (co jest równoznaczne z możliwością zażądania rewizji granic wschodnich), nic Polsce nie ustąpili, przeciwnie, nawet od niej uzyskali zrzeczenie się wielu pretensyj.

W związku z tem oświadczeniem ministra zanotować należy wielce charakterystyczne wystąpienie nacjonalistów, w osobie leadera opozycji, Hugenberga, który zarzucił rządowi Rzeszy nieszczerość w traktowaniu sprawy planu Younga, jakoże zgóry przekonany jest, iż Rząd przygotowany jest nie spełnić zobowiązań, wypływających z powyższego tytułu. Brawo, Hugenberg! Przynajmniej szczerze...

I oto we Francji rozpoczyna się jednocześnie kryzys gabinetowy. Symptomaty proste: drobiazg, szczegół ustawy skarbowej wywołuje głosowanie 286 przeciw 281 i w tej samej chwili niemal p. premjer, powołując się na stan zdrowia, zgłasza podanie o dymisję...

*



Wśród znanych „misek" na całym świecie niemałym wdziękiem odznacza się „Miss Zima", którą została w tym roku p. Józefina Hoffman. Na uwagę zasługuje, iż królestwem „Miss Zimy" jest słoneczna Riviera w Ameryce.

Na zakończenie tej kroniki przenieśmy się do Hiszpanji. Nie dlatego, żeby tam było cicho i spokojnie. Przeciwnie. Dyktatora już niema. Zażywa odpoczynku na paryskim bruku. A w całym kraju rozgorzały krwawe zamieszki. Życie zamarło. Strajk proklamowano w Barcelonie. Strajk w Toledo. Strajk w Madrycie. Robotnicy usiłują wciągnąć do ruchu strajkowego studentów. Studenci — robotników i t. d., w kółko — aż do stanu... oblężenia, który ogłoszono we wszystkich większych miastach. A policja, dla większej pewności, wali kolbami każdego, ktokolwiek się nawinie...



Inwalida wojenny, Ch. C. Mac Donegal, mimo utraty ręki nie przestaje odbywać wzlotów na aeroplanie.



B. minister wojny St. Zjednoczonych N. O. Baker został mianowany sędzią przy Trybunale Międzynarodowym w Hadze, na miejsce p. Charles Evans Hughes.



Brat mikado japońskiego, książę Takamatsu, zaślubił wnuczkę ostatniego Soguna, uroczą Togukawa, zacieśniając tym sposobem węzły przyjaźni pomiędzy domem panującym, a jednym z największych rodów japońskich.



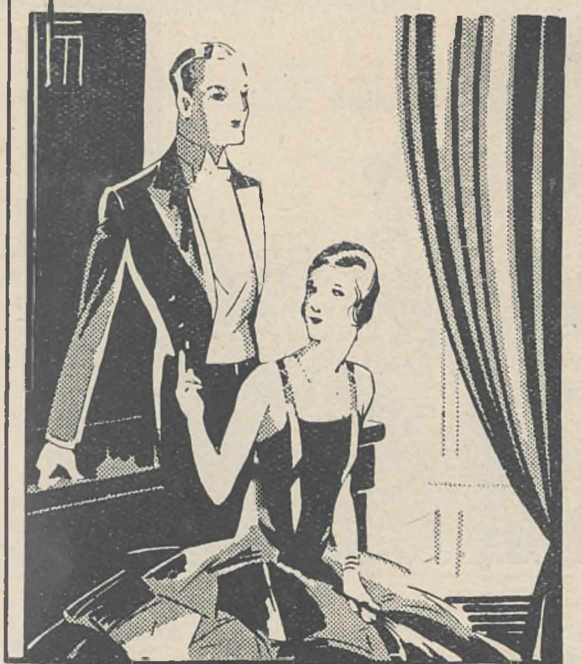
Znakomity podróżnik Sir Herbert Wilkins, który nie dawał o sobie przez dłuższy czas znaku życia przybył z powrotem do bazy swej na wyspie Decaption.



Kapitan amerykański Albert W. Stevens został dezygnowany na nagrodę imienia Mackay za najwyższe loty.

2511 ZWYCIĘZCA

NA MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE RADJOWEJ W LONDYNIE



Wszystkie ostatnie zdobycze techniki mieszczą się w tym odbiorniku.

Zasilany wprost z sieci oświetleniowej. Bez bateryj! Bez akumulatorów!

Strojenie przy pomocy jednej tylko gałki.

Dzięki zastosowaniu wieloelektrodowych lamp PHILIPSA o wielkiej mocy, odbiornik ten oddaje czysto i silnie nawet najodleglejsze i najsłabsze stacje europejskie.

Całkowicie wyłącza stację miejscową.



CENA ZŁ. 1750.

ELEKTRYCZNY ODBIORNIK

PHILIPSA

PHILIPS RADIO

Ilustr. fot. Fox, Metro, Paramount, Muza.



piękna nieznajoma

Jeszcze Warszawa. Znajome twarze, sprawy codzienne, codzienne troski i kłopoty — ale już inna atmosfera — inne powietrze — specyficzne, podniecające, dymem przesycone.

Peron.

Ruch gorączkowy, zgiełk, chaos pożegnań, nawoływań, pozdrowień.

Za chwilę odjazd.

I odpływa dzień powszedni, ginie w oddali, pozostaje w Warszawie, Lwowie, czy Krakowie, skąd wyruszamy.

Podróż.

W czterech ścianach przedziału — już nowy świat.

Nowi ludzie — towarzysze przygodni: na chwilę, na godziny, na jedną noc, na jedno niecodzienne przeżycie.

Miękko i rytmicznie kołysze się wagon.

Za oknami noc.

Jakie piękne oczy ma moja nieznajoma towarzyszka podróży.

— Pozwoli Pani?

Pomagam zdjąć neseser.

Dlaczego te oczy są aż tak fiołkowe?

— Dokąd Pani?

— A Pan?

I zawiązuje się rozmowa.

I jest najciekawsza w świecie, choćby moja towarzyszka była kobietą jak wiele, a ja jak wielu, wielu mężczyzn.

Najciekawsza — bo na marginesie dnia codziennego.

Bo nie wiemy o sobie nic.

Bo jesteśmy obcy.

Bo znać się będziemy przez chwilę, a mamy sobie tyle do powiedzenia.

Nie jestem już panem X — lekarzem, adwokatem, kupcem, przemysłowcem, człowiekiem z tysiącem „spraw" i obowiązków, ale po prostu „panem z pociągu".

A ona — Nieznajomą.

Piękną Nieznajomą z pociągu.

Jeśli tylko rozmowa — to najbardziej zajmująca. Jeśli flirt — to nigdy nie banalny. Chwila, moment, nastrój, ów urok tajemniczości, czar pierwszego wrażenia, nie zabity przez codzienność spotkań, rozmów, plotek.



A któregoś dnia później, jeśli spotkam przypadkiem i poznam:

— Dzień dobry Pani!

I najbardziej serdeczny uśmiech, odruch najbardziej szczerej życzliwości dla nieznajomej.

Dla Pięknej Nieznajomej z pociągu.

Karnawał.

Maskarada.

Fale serpentyn. Ulewa konfetti.







Maski, mask kostjumy dziwaczne, przebrania.

Poco? Dlacz ?

By przestać ć sobą, by zgubić siebie, by stać się innym, nieznajomym, nowym.

Maseczko! eczko!

Urok nowoś tajemniczości i intrygi.

Maskarada - to państwo Pięknych Nieznajomych.

Każda kobie jest piękna i każda nieznajoma.

Wszystko w o na balu maskowym.

Tylko jedne najsurowiej broni niepisane prawo karnawału.

Nie zdejmu aski!

Biada śmiał i, który prawo złamie!

Bogini różdż czarodziejską przemieni cudną nieznajomą w potwora.

Rozwieje się rok, pierzchnie czar zabawy, zamrze marzenie o pięknej nieznajomej.

Ale zasłużo to kara.

Stara — jak arym jest karnawał — jest maskaradowa intryga małżeńska.

Znudzony s żoną, małżonek ucieka na bal maskowy w poszukiwaniu pięknej niez omej.

Spotyka sw nę w przebraniu.

Nie poznaję : spotkał piękną nieznajomą.

I zamarła m ść na nowo odżywa.

Wiwat, Pięk Nieznajoma!

Kobieta prz toliku wysoka i wiotka.

Z za szerok bark towarzysza śle mi przelotne spojrzenie przymrużonych, zielonych zu.

Nic usta nie wią, a tak wiele — oczy.

Podnoszę kie h.

I ona pije.

hin-Chin!

ańczymy.

ie z sobą.

objęciach towarzysza swego zamknięta, śle mi swój uś h kuszący; tuląc do siebie kibić towarzyszki, odpowiadam jej zyma:

- Pragnę!

hin-chin! O Piękna Nieznajoma z dancingu!

---

zemu to budzę się tak wcześnie po nocy przetańczonej?

zemu to śpieszę natychmiast do okna, młody i rześki, rozsuw firanki i wybiegam okiem ku oknom sąsiedniego domu?

oto w pokoju naprzeciw, w promieniach porannego słoń dostrzegam smukłą postać — jak poranek świeżej i promie j mojej pięknej nieznajomej sąsiadki.

st najpiękniejsza ze wszystkich dziewcząt świata, jest nap o najmilsza, najbardziej pełna wdzięku i słodyczy.

jej nie znam.

yposażyłem ją we wszystkie cnoty, w jakie dobry Bóg dzi zę wyposażyć może — i raduję się nią, jak raduję się an n i wiosną.

tro, pojutrze, za tydzień, zbliżę się do niej i poznam ją — jak o nie zerwać wonnego owocu? — lecz najcudniejsza jest nap o teraz.

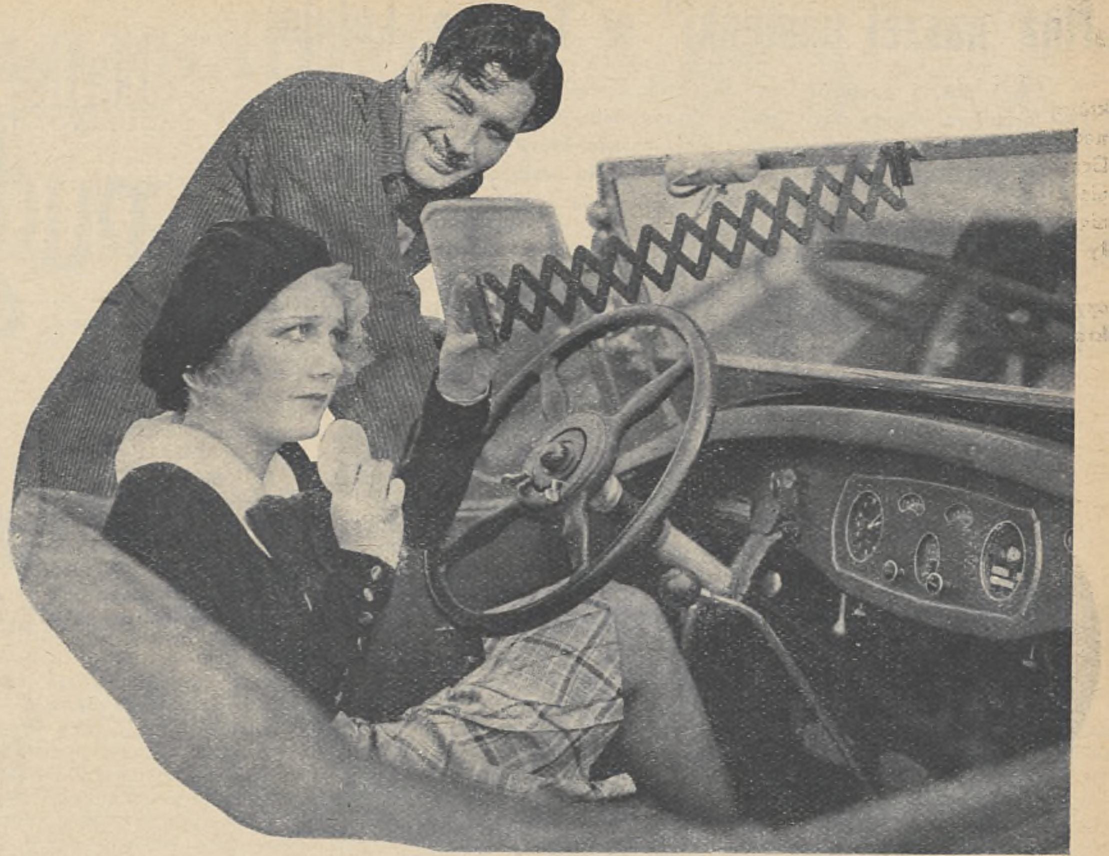
raz — gdy nie znam jej jeszcze, gdy taka jest, jaką chcę, by , jaką sobie teraz wymarzyłem.

ko owa Piękna Nieznajoma.

---

noże największą mądrością jest nie zrywać owocu.

e zamieniać Pięknej Nieznajomej na przyjaciółkę, żonę, cz chankę — cóż, kiedy życie pulsuje w tętnicach, kiedy pęd as naprzód, popycha do czynu.



Kiedy prawdziwa mądrość przychodzi zbyt późno.

Przychodzi wtedy... gdy pragnień już brak.

Gdy w szyby nasze pomarszczona starość zapuka...

Jeśli kiedy w retortach chemików zakipi eleksir młodości, jeśli kiedy zuchwała wiedza wyrwie bogom największą ich tajemnicę, a moment ten może jest bliższy, aniżeli nam się wydaje, — to jednym z pierwszych objawów powracającej młodości będzie — ciekawość.

Ciekawość, żądza poznawania coraz to nowych ludzi, coraz to nowych zjawisk, przeżyć, dziedzin poznania.

Piękna nieznajoma — to symbol wszystkiego, co nieznane, wabiące, tajemnicze, nowe.

Młodość, tylko młodość w swym pędzie szalonym, odrzuca, co znane i nieciekawe, choćby najlepsze, choćby najbardziej cenne, śpieszy naprzód do ataku na życie, aż wreszcie przez druty kolczaste niepowodzeń poraniona, przez dymy zatrute rozczarowań zatruta, okopuje się w rowach ochronnych mądrości życiowej i doświadczenia, zatrzymuje się i odpoczywa. Wtedy jest kres młodości i... panowania Pięknej Nieznajomej.

I dlatego, dopóki krew szybko pędzi w tętnicach, nie zwapniałych nalotem starości, dopóki nadstawiam chciwych uszu na wszystkie fale wszechświata — dopóty pragnę wszystkiego, co nowe, piękne i nieznane.



Piękna Nieznajoma nosi w oczach tajemnicę świata.

Bobby.

„Mąż naszej panienki" w Teatrze Letnim

„Mąż naszej panienki" — oto tytuł nowej komedji Gustawa Beylina, której premjera odbyła się w ubiegłym tygodniu w Teatrze Letnim. Osią komedji jest zagadnienie o dzisiejszem małżeństwie, które w swej krytyce Adam Grzymała Siedlecki tak dosadnie porównuje do weksla: „w dniu płatności nic z niego niema ten, co weksel podpisał, nic nie ma i ten, co na weksel pieniądze dawał — jedynie rejent bierze za protest. W rozwodach natomiast, cały zysk zbiera adwokat do spraw rozwodowych".

„Mąż naszej panienki" jest komedją zabawną, życiową — a Ola Leszczyńska i Kurnakowicz wraz z Łuszczewskim, Jarszewskim i Rotter-Jarnińską kreują w niej świetne postacie.

(Z.).



Ola Leszczyńska i Kurnakowicz w „Mężu naszej panienki". (Fot. J. Malarski).

PRZEGLĄD FILMOWY

Atlantic. — Czterech djabłów.

Reżyserja Murnau potrafiła w zużyte i tylokrotnie zbanalizowane przez kino tło cyrkowe wnieść dużo nowych i ciekawych filmowo szczegółów. Prześliczne zdjęcia oraz ujęcia, stanowią główną zaletę „Czterech djabłów", filmu bezwzględnie zajmującego i dobrego, który jednak nie wychodzi poza ramy przesadności. Janet Gaynor operuje jak zwykle swoją pełną uległości słodyczą i wdziękiem bezbronności. W części dźwiękowej filmu odnosi ona bezwzględny sukces; jej głośny płacz stanowi najmocniejszą i najbardziej wzruszającą scenę w całym obrazie. Niepotrzebnie natomiast w przedostatnim akcie, osoby działające zaczynają nagle między sobą rozmawiać głośno, potem zaś milkną na czas ostatniego aktu znowu. W ten sposób bowiem traktowane możliwości filmów mówionych stają się tylko atrakcją, atrakcje zaś przy dobrych filmach są zupełnie zbyteczne.

Zofja Dromlewiczowa.

PROGRAMY WIDOWISK

Teatry

WIELKI.
Dn. 20 b. m. „Megae" i „Szecherezada".
Dn. 21 b. m. „Madame Butterfly".
Dn. 22 b. m. „Casanova".
Dn. 23 b. m. o g. 3 p.p. „Pan Twardowski".
O godz. 8 wiecz. „Żydówka".
Dn. 24 b. m. „Zmierzch Bogów".

NARODOWY.
Codziennie „Bal w obłokach".

LETNI.
Codziennie „Mąż naszej panienki".

NOWY.
Codziennie „Magja".

POLSKI.
Codziennie „Melodramat".

MAŁY.
Codziennie „Wilki w nocy".

ATENEUM.
Codziennie „Karol i Anna".

OPERETKA L. MESSAL (Marszałkowska 114).
Codziennie 2 przedstawienia „Ewentualnie dzisiaj w nocy".

MORSKIE OKO.
Codziennie rewja p. t. „Gwiazdy Warszawy".

QUI PRO QUO.
Codziennie rewja p. t. „Dookoła Bartel".

ORFEUM.
Codziennie „Sandomierskie wesele".

WESOŁY WIECZÓR.
Codziennie „Weź mnie".

Kina

Apollo: „Uroda życia".
Casino: „Piekło lodów".
Capitol: „Dzwonnik z Notre Dame".
Colosseum: „Romans Królowej Piękności".
Filharmonja: „Miłość księcia Sergiusza".
Hollywood: „Szatańska miłość".
Palace: „Sprzysiężenie trzech".
Pan: „W tajdze Sybiru".
Stylowy: „Król gór".
Wodewil: „Hultaj".

DŹWIĘKOWE:
Atlantic: „4 djabłów" z. J. Gaynor.
Splendid: „Białe cienie".
Światowid: „Skrzydlata flota".
Tęcza: „Szalony książę".

POPIERAJCIE L. O. P. P.

KONSULTACJA

(HUMORESKA).

Lekarz podsunął przybyszowi miękki klubowy fotel.

Pacjent był człowiekiem nieprawdopodobnie chudym, o pożółkłej cerze i melancholijnem spojrzeniu wyblakłych, szarych oczu.

— Co panu dolega?

— Nic, panie doktorze. Nigdy nie byłem chory. Tylko jestem smutny, bardzo smutny. Wszystko mnie martwi i byle co doprowadza mnie do rozpaczy. Co rano wstaję w złym humorze i co wieczór kładę się spać z niesmakiem. Zawładnęła mną posępnica, która od dłuższego już czasu nie daje mi spokoju. Życie moje to wegetacja.

— Cierpi pan na neurastenję. Przyczynia się do tego prawdopodobnie jakiś defekt w pańskim organizmie. Mam nadzieję, że znajdziemy lekarstwo na tę pańską ostrą hypochondrję. Proszę się rozebrać. — Czy ma pan dobry żołądek?

— Strawiłbym skałę.

— Doskonale, — uśmiechnął się lekarz, przykładając ucho do słuchawki. — Wątroba normalna, płuca funkcjonują wyśmienicie, serce godne zazdrości. Czy nie miał pan nigdy nadwyrężonego wzroku? Chociaż refleksy najzupełniej normalne. Żadnego objawu jakiejkolwiek choroby. Jest pan zdrów, jak ryba. Cierpienie pańskie można porównać ze starożytną grecką melancholją, lub z nowoczesnym angielskim spleenem. Cierpi pan na smutek, podobnie jak inni cierpią na reumatyzm. Potrzebne są panu rozrywki. Lubi pan kino?

— Kina nienawidzę.

— Do teatru pan chodzi?

— Tylko wówczas, gdy mogę tam spokojnie zasnąć.

— Więc niech pan podróżuje!

— Zwiedziłem wszystkie pięć części świata i nigdzie nie znalazłem ukojenia dla mej chorej duszy, czy to podczas portugalskiej rewolucji, czy to patrząc na powstawanie Republiki murzyńskiej. Zachwyt amerykańskich kobiet dla Chaplina nie zajmuje mnie zupełnie, tak samo zresztą, jak defilada żołnierzy chińskich. Drzewa daktylowe w Algierze sprawiły na mnie akurat takie wrażenie, jak lodowce w Grenlandji.

— Ależ pan jest zupełnie młody, może więc... kobiety?

— Och, panie doktorze, wszystkie są jednakowe brunetki czy blondynki, tęgie czy szczupłe, z długiemi czy krótkiemi włosami...

— Tak, te wszystkie... Ale jedna, wybrana, któraby pana kochała?

— Z tą byłoby jeszcze gorzej, — odparł pacjent głosem beznadziejnym.

— W takim razie — zaśmiał się lekarz — pozostaje panu tylko czytanie. Czytanie dostarcza człowiekowi maksimum przyjemności. Dobra książka, to najserdeczniejszy nasz przyjaciel.

— Nigdy nie czytałem wprawdzie zajmującej książki.

— Co pan mówi?! W dobrej książce odnajdzie pan wszytko, czego panu brak w życiu. Przed kilku tygodniami, w tym samym dniu, kiedy umarł mój najlepszy pacjent, a po południu zastałem swoją żonę w objęciach siostrzeńca, wieczorem uśmiałem się do łez, czytając jedną z ostatnich powieści Broh'a. Cóż to za pisarz! Nikt nie potrafi z taką siłą malować komicznych sytuacji! To mistrz nad mistrze! Musi mi pan przyrzec, że przeczyta pan choć jedną powieść Broh'a.

— Nie mogę panu tego przyrzec, panie doktorze — odparł melancholijny pacjent — ponieważ Broh... to właśnie ja.

D. G.

MAURICE DEKOBRA.

W KRAINIE MAHARADŻÓW

ZARZYNANE OGÓRKI

Z chwilą, kiedy, chociażby na moment, przestaniemy podziwiać cuda architektoniczne świątyń lub też przepych starych pałaców, odrazu rzuca się nam w oczy brud, panujący we wszystkich miastach Indyj. Brud ten, zakorzeniony głęboko jest prawdziwie potworny i odrażający. Nawet sam Herkules zwiałby, gdzie pieprz rośnie, gdyby mu kazano uprzątnąć te olbrzymie stajnie Augjasza.

Ogólnie twierdzą, że Hindus jest czysty. W teorji tak, ale w praktyce wprost przeciwnie. Każdy z nich pilnie przestrzega ablucyj, przepisanych mu rytuałem religijnym. Na całe tylko nieszczęście, na dziesięć razy, przynajmniej dziewięć — kąpie się w brudnej wodzie. Widziałem nieraz wyznawców Sziwy, zanurzających się i nacierających swe ciała w kałużach, napełnionych żółtą lub czarną stojącą wodą, albo w poświęcanych basenach, pokrytych ohydną pianą i szumowinami, powstałą przez kąpanie się tysięcy poprzedników. Widziałem również kobiety, które prały bieliznę w wodzie kwalifikującej się jedynie do rynsztoka. To zupełnie tak, jakgdyby gospodynie, z podmiejskich okolic Paryża, poszły prać koszule u wylotu wielkiego kolektora kanalizacyjnego!

Dopiero tutaj zrozumiałem, że pojęcie czystości jest rzeczą względną i zmienia się w zależności od szerokości geograficznej. Żaden chłopiec hinduski niezapomni wytrzeć starannie palcami otworu butelki, którą przed chwilą otworzył. Każdy kucharz hinduski ugniata kulki z siekanego mięsa na spoconych, gołych udach. Prawdopodobnie, ażeby nadać tym kąskom zapachu dziczyzny, tak ulubionego przez prawdziwych smakoszów. Jeden rzeźnik w Peshawerze rąbał mięso nogami. To znaczy, że trzymając, dużemi palcami od nóg, nóż rzeźniczy w pozycji pionowej rozdzierał na nim kawały mięsa, które opadając pokrywały mu całe stopy, aż do pół łydek.

Wieśniaczki, zbierają gołemi rękoma ciepłe jeszcze ekskrementy bydła i ugniatają z tego rodzaj cegiełek, służących później za opał. Widziałem kiedyś jakąś kobietę z ludu, która siedząc na rynku iskała głowę swego dziecka i zabijała wszy na ciele malca.

Ale koroną wszystkiego jest okres porodowy. Nasi, europejscy ginekolodzy bywają naprawdę zrównani z błotem, o ile im wypadnie asystować przy połogu, wśród drobnej kasty proletarjatu. Jeden z mych przyjaciół, amerykański dentysta, miał u siebie służącego, którego żona zaszła w ciążę. Wreszcie nadszedł dzień rozwiązania. Odbywało się to wszystko na poddaszu, na tapczanie wysłanym palmowemi liśćmi. Krytycznego dnia, pod wieczór, służący pobiegł po swojego pana, by ten ratował jego żonę. Dentysta udał się natychmiast do nory, oświetlonej mdłym światłem latarni. Przyszła matka leżała wyciągnięta na barłogu, a na jej brzuchu, niczem na koniu, siedziała stara akuszerka; megera opierała się z całej siły, mrucząc pod nosem jakieś zaklęcia, podczas gdy druga wiedźma, oczekująca przyjścia na świat dziecka, starała się zabawiać chorą kiepskiego gatunku dowcipami. Dentysta kazał natychmiast przegnać obie sekutnice, ratując tem, od pewnej śmierci, nieszczęśliwą matkę i wkrótce potem podał rozpromienionemu hindusowi urodzone dziecko.

— Panie! Jakże to potrafiłeś uczynić, kiedy obie stare torturowały moją żonę już od dwudziestu czterech godzin?

— W bardzo prosty sposób... Malec będzie chłopcem przebiegłym i sprytnym... Pokazałem mu na mojej dłoni srebrną rupję, a on natychmiast sam wyszedł!

*

Refleksje te, na temat brudu w Indjach, nasunęły się mimowoli, kiedy odkryłem nareszcie jedno miasto o bezprzykładnej czystości. Było to Trivandrum, stolica małego państewka Travancor, leżącego na południu Hindustanu, nad brzegiem Oceanu Indyjskiego, pomiedzy przylądkiem Comorin i Kochinchiną. Flora Travancoru jest tropikalna i przypomina sobą Ceylon. Palmy kokosowe wytryskają z ziemi niczem zielone fajerwerki i konkurują z szerokiemi liśćmi drzew bananowych, które również pną się ku górze z pośród nieprzebranej ilości innych drzew i krzewów.

Schludne uliczki miasta, pokryte czerwonym piaskiem, dobrze utrzymane domki, mieszkańcy ubrani bez wyjątku na biało, parki otaczające pałace i pełne kwiatów ogrody bungalow'ów czynią cudowne wrażenie, po wspomnieniach z nieznośnych bazarów, pełnych świerzbowatych psów, miljardów dokuczliwych much i żebraków w łachmanach, którzy włóczą się, modląc się bezustannie, ze swemi ranami, ropiejącemi od brudu i nieczystości.

*

Dla zmęczonych oczu podróżnika, który przez dwa miesiące kręcił się dokoła Gangesu czy też Godoveri, Trivandrum, z jego idylicznem otoczeniem, jest prawdziwym odpoczynkiem i wydaje się jakoby było przeznaczone jedynie na ucieczkę, dla zamiłowanych w przyrodzie podzwrotnikowej. I razu pewnego, w tem cudnem miasteczku odkryłem jedną rzecz, którejbym się nie spodziewał znaleść w Indjach.

Zdarzyło się to wczesnym rankiem, o świcie, w chwili kiedy powietrze jest jeszcze świeże i rzeźwe, kiedy słońce zaczyna oświetlać dopiero wierzchołki zalesionych wzgórz: kiedy woda strumieni i lagun zaludnionych czaplami i krokodylami odbija bladość czystego nieba: kiedy płaskie statki ślizgają się cicho pod baldachimem z liści; kiedy prymitywne gondole płyną, napełnione ładunkiem kokosowych orzechów.

Jeden z mych przyjaciół zaprowadził mnie w stronę świątyni. Musiałem zadowolnić się podziwianiem struktury zewnętrznej, ponieważ wstęp do środka jest Europejczykom wzbroniony. Gdy nagle ujrzałem jednego z wiernych, wchodzącego do świętego miejsca z wielkim ogórkiem pod pachą.

— Ogórek?... Na co mu ten ogórek?... — spytałem się przyjaciela.

Na to mi on odpowiedział z uśmiechem:

— Zna pan zapewne rytuał, wyznawców okrutnej bogini Kali, który wymaga składania krwawych ofiar, dla przebłagania jej gniewu.

— Owszem znam. Widziałem nieraz, na własne oczy, jak obcinano głowy owcom, przed tego rodzaju świątyniami... Nieszczęśliwe, małe owieczki, które przyprowadzano do krwawego pniaka, beczały żałośnie, jakgdyby unoszące się opary krwi, przepowiadały im nieuniknioną śmierć. Widziałem ciała owiec, pozbawione głów, drgające jeszcze w przedśmiertnych drgawkach, rzucone przed tłum nieczułych wiernych... I upewniam pana, że płaczę nad tym rytuałem, który jest ciemną plamą na złotym płaszczu Indyj.

— Ma pan najzupełniejszą słuszność.. Niech pan jednak przyjmie to do wiadomości, że ofiary składane z owiec lub byczków wkrótce pozostaną jedynie wspomnieniem. Około roku 1830 składano jeszcze ofiary okrutnej bogini z żywych dzieci. Ale obecnie w państwie Travancore zrobiliśmy ogromny krok naprzód. Obecna regentka, będąc z natury kobietą bardzo uczuciową, niepozwoliła na ścinanie głów zwierzętom przed świątyniami w całem państwie.

— Jakto! Ośmieliła się na tego rodzaju rewolucyjne posunięcie, w kwestji religji, która doprowadza hindusów nieraz do fanatyzmu?

— Owszem, ośmieliła się!

— No a cóż na to powiedzieli kapłani i bramini wierni ściśle dogmatów religijnych i prawa?

— Nie odważyli się zaoponować przeciwko rozporządzeniu wdowy po maharadży, któremu państwo wiele winno dobrego. Woleli dać temu pokój. I znaleźli furtkę wyjścia, ażeby móc każdego zadowolić. Polecili mianowicie wiernym obcinać szyję ogórkom.

— Nadzwyczajne!

—Sok, który tryska z rany przy tem ogórkościnaniu odgrywa rolę krwi, wypływającej z rozciętych arteryj. Sok skrapia kamień. Bogini jest zadowolona. Wierni także.

— Ma pan rację. Tylko całe nieszczęście polega na tem, że ogórek nie beczy przed ścięciem.

— Trudnem było znalezienie tak idealnej jarzyny, która, będąc niezadowolona ze ścięcia, chciałaby jęczeć w rękach ofiarnika! Niech pan mi wierzy, że nasi kazuiści z Travancore bardzo umiejętnie i wykwitnie załatwili tę delikatną sprawę.

— Wierzę. Ja również znajduję, że bramini postąpili w sposób tak przebiegły, że należy im się złoty medal. Ponieważ wierny wyznawca bogini, który na oczach bałwana, uśmierca swój ogórek, ma zawsze możność skonsumowania go później z oliwą i octem.

(Dokończenie nastąpi).

„Biały węgiel“

(Dokończenie ze str. 6-ej.)

Cząstkę „białego węgla“ odnajdziemy więc w skromnej żarówce, zarówno jak w oślepiających globach lamp łukowych, lub w rytmicznym oddechu motorów fabrycznych, albo w zawrotnym biegu zelektryfikowanego „ekspresu“.

Jeden z nowożytnych „cudów“ natury, wodospad Niagary, rzucający swe wody z wysokości 50 metrów, dostarcza obecnie energji, obliczonej na blisko 2 miljony koni parowych! I to jest tylko część jego mocy, którą zgodzono się skaptować w rozmiarach niezagrażających zniszczeniem dzikiego piękna krajobrazu.

Francja posiada w swych granicach wody, które mogą wydać do 6 miljonów koni parowych, z czego obecnie wykorzystana jest dopiero trzecia część.

Pierwszym na świecie krajem. który w dużych wymiarach zaczął zasilać swe koleje „białym węglem“ z powodu braku czarnego — są Włochy.

Inne kraje Europy zachodniej poszły częściowo tą drogą, a obecni elektryfikacja staje się aktualną i w ich pozaeuropejskich kolonjach.

Klasycznym przykładem wreszcie tytanicznej walki z przyrodą, i mrówczej pracowitości jest Japonja, — pozbawiona zupełnie nafty i prawie zupełnie węgla kamiennego, — w swem dążeniu do wykorzystania „białego węgla“.

Państwo to już dzisiaj kroczy na czele innych narodów, które pomyślały o zaczerpnięciu energji z jej zapasów naturalnych, w krótkim bowiem czasie będzie rozporządzać mocą 1.350 tysięcy koni parowych.

Polska posiada na swem terytorjum niewyzyskane dotąd źródła „białego węgla“, które nęcą obcy kapitał.

Sprawa wyzyskania ich stała się ostatniemi czasy aktualną.

Należy tylko życzyć, aby została ona rozstrzygniętą pod kątem ściśle polskich interesów, i aby nikt nie miał prawa przypomnieć nam historji o „złotym rogu“...

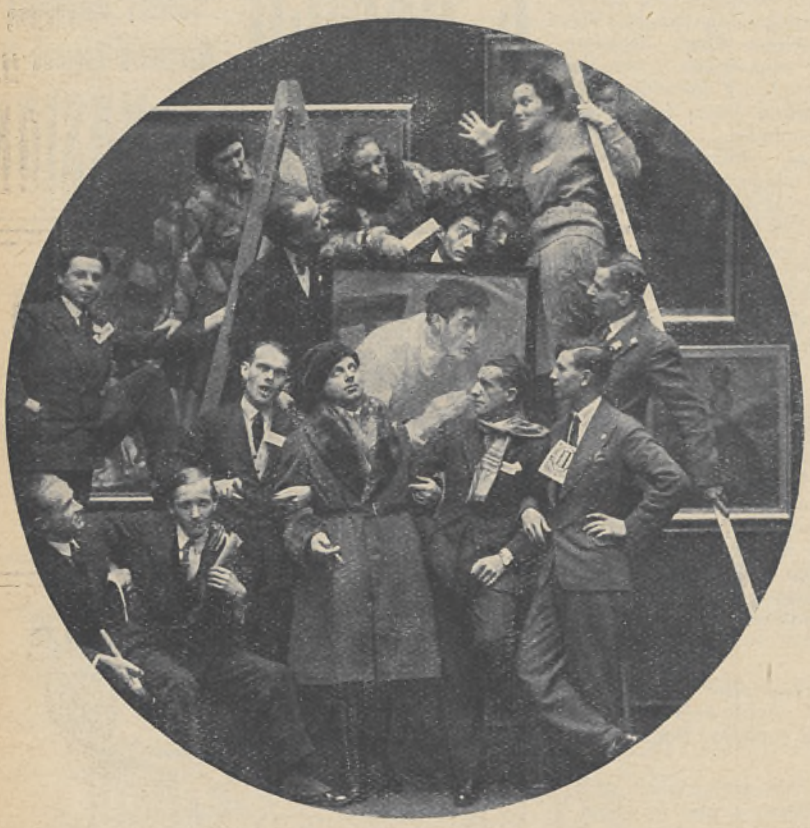
Inż. Z. Kacprowski.

Nasze najpiękniejsze z wizytą w fabryce General Motors



Miss Polonia i obie wice-miss wraz z kilkoma z wyróżnionych niewiast, odwiedzały nie tylko domy mód i festiwale. Współczesną kobietę zainteresować może i przemysł — a zwłaszcza ten, który wytwarza szczyt marzeń każdego — samochód. Nic też dziwnego, że z prawdziwą przyjemnością odbyły nasze najurodziwsze wycieczkę na ul. Wolską, do fabryki General Motors, gdzie dokonano powyższego zdjęcia.

SZKOŁA WARSZAWSKA W „ZACHĘCIE“



Niezmordowany pedagog i ulubieniec młodzieży artystycznej, prof. Tadeusz Pruszkowski utworzył drugą po „Bractwie Św. Łukasza“ szkołę malarską — t. zw. „Szkołę Warszawską“. Podobna do pierwszej z założenia swego, opartego na realiźmie starych Holendrów i Flamandów — różni się większem odczuciem barwy — żywej, indywidualnie pojmowanej, nie mniej jednak realistycznej. Artyści zapisani do tej szkoły — że wymienimy kilku z nich: Teresę Roszkowską, Leokadję Bielską, Wacława Paleszę, Włodzimierza Bartoszewicza, Michała Bylinę braci Seidenbeutel — wystawili szereg dzieł zasługujących na żywą pochwałę. (Fot. J. Ryś).

Kuracja homeopatyczna

(Dokończenie ze str. 8-ej.)

— Ależ ja panią kocham, — przerwał wreszcie profesor, — pani mnie doprowadza do rozpaczy, nie pozwalając mi nawet zrobić wyznania! Już od długich miesięcy kocham panią, a nie mam możności powiedzenia pani o tem, tak mnie pani paraliżuje swoim chłodem. Do stu tysięcy djabłów! Nie jestem mumją, mam także serce, nerwy i duszę...

Sama skorzystała z krótkiej przerwy, spowodowanej tą tyradą, aby wyszukać w zarysie botaniki kilka uwag o *Euphrasii oficinalis* i aby sformułować pewien okres dość skomplikowany, który już istniał w języku angielskim, ale buntował się jeszcze przeciw włoskiemu.

— Pani mi zadała straszne katusze, — powiedział młodzieniec, przyciskając ręce do piersi i ściskając w zębach obsadkę, pomazaną czerwonym atramentem, niby puginał, świecący krwią niewinną. — Dłużej tego nie zniosę!

I zadrżał na myśl, że panna go odrzuci.

— Co pan powiedział, przepraszam, nie słyszałam, — odparła spokojnie amerykanka, zamykając z łoskotem księgę.

— Mówię, że dłużej tego nie zniosę! — skarżył się profesor głosem pełnym rozpaczy.

— Dłużej pan tego nie zniesie? No to niech pan sobie odpocznie. Będziemy za to pisali dłużej jutro.

— Umieram z miłości, — jęczał pewnego wieczoru młodzieniec, podczas gdy panna przebierała na stole paznokciami ostremi, jak lancety, a w drugim ręku trzymała ciasteczko, któremu już w myślach przeznaczała skwapliwie następcę.

— Chce pan umrzeć? To są brednie, które wygadują poeci w pańskiej ojczyźnie. U nas się już takich wierszy dzisiaj nie pisze, bo nawet drukarze nie chcieliby ich drukować!

— Napewno rozchoruję się z miłości!

— Będę pana w takim razie leczyć! Przecież zaciągnęłam względem pana dług wdzięczności. Znajdę w końcu sposób, aby wyrównać nasze rachunki.

W małym *tea-room'ie*, pachnącym świeżością białego pokostu, świecącym od luster i od czystości, spotykało się najciekawsze egzotyczne typy z całego Rzymu. Przy stolikach siedzieli: pastor anglikański, jakaś *quacker-girl*, artyści, profesorowie, urzędnicy ambasad, blondyni o błękitnych oczach i blondynki, o jasnych, prawdziwie angielskich czuprynach.

Wchłaniano tu napoje i lody, i porozumiewano się szeptem ze sobą, zupełnie tak, jakby spełniano rytuał. Każdego dnia, ci ludzie, ze wszystkich stron świata, spotykali się tu o zachodzie słońca, aby odnaleźć kawałek swojej ojczyzny, bo zachodzące słońce rzymskie podniecało ich nostalgję.

— Drogi przyjacielu — powiedziała Harrieta Wellingson, opierając się na ramieniu młodego profesora — niech pan nie myśli, że wyznania pańskie nie robią na mnie żadnego wrażenia. Nie dowierzam mężczyznom z tej racji, że ich prawie nie znam, ale przedewszystkiem nie wierzę w miłość. Pan mi się mimo wszystko podoba. Sądzę nawet, że pana kocham. Nie mam w Rzymie prócz pana nikogo i nie chcę pana stracić, bobym została zupełnie sama, a myśl o samotności przeraża mnie.

— Droga Harrieto, — wyszeptał rozmarzony profesor. — Niech pani to powtórzy w swoim własnym języku. Znam angielski, a niedobrze rozumiem pani włoszczyzny.

— Wypowiedziałam wszystko bardzo jasno i nie mam zamiaru jaśniej się tłomaczyć. Kocham pana. Czuję, że jestem chora na miłość. Moi koledzy w Ameryce odkryli mikroba miłości, a obecnie stwierdziłam, że miłość jest mikrobem zaraźliwym. Musi pan w to uwierzyć! Jestem chora, a nie chcę być leczona. Gdybym została kochanką pana, choroba moja skończyłaby się. Przestałabym pana kochać.

Doktryna homeopatyczna i fantazje Samuela Hahnemanna zaczęły niepokoić umysł profesora.

— Cóż u licha! Mogę odczytywać hieroglify egipskie, ale nie rozumiem *calembours'ów?!* Przyznam się, iż pani teorje homeopatyczne, gdy przekraczają granice medycyny, aby wkroczyć w dziedzinę miłości, stają się śmieszne, głupie, i bezsensowne.

Niewzruszona maska kalkulatorki, nie wyrażająca żadnych uczuć, tchnęła lodowatą obojętnością.

— Pan mnie kocha, — próbowała jeszcze tłomaczyć. — I ja pana również kocham. Oboje jesteśmy chorzy na miłość. Gdybyśmy zostali kochankami, jedno z nas byłoby lekarstwem homeopatycznem dla drugiego. Czy mam dać przykład? Gdy kochankowie rozłączają się, miłość ich wzrasta. Zbliżmy ich ze sobą, a miłość stopnieje.

Uczucie pozbawiało nieszczęsnego młodzieńca energji życiowej. Stanowisko jego profesorskie było zachwiane, słuchacze uprawiali dezercję z wykładów na wielką skalę i rozgłaszali przesadne plotki o nieścisłościach wykładu, bo istotnie profesor w ferworze wymowy przebywał myślami w Ameryce, zamiast wśród ruin Teb i Memfisu. Rękopis jego dzieła był przerwany w połowie, a nieogiędny wydawca wydrukował już zawczasu ogłoszenie na okładkach najnowszych wydawnictw: „Niebawem ukaże się w druku wspaniałe dzieło profesora Emil Giudri: „Czy przejście Żydów przez Morze Czerwone miało miejsce za czasów Ramzesa II czy za czasów Seta XIII, osiem tomów w ósemce".

— W tem wszystkiem jest jednak cień prawdy, — rozmyślał egiptolog. — Jeśliby mi się udało ją zdobyć, rozdarłbym zasłonę tajemnicy, która ją otacza i przestałbym ją kochać! Nie ulega wątpliwości, że to, co mnie dziś najbardziej podnieca, to jej opór.

A tak mu potrzeba było spokoju i skupienia! Miłość przyprawiała go wprost o rozpacz i odbierała mu siły i spokój do pracy. Trzeba było raz z tem wszystkiem skończyć, by powrócić do katedry uniwersyteckiej i do mumij.

Pewnego ranka zerwał się z łóżka i pobiegł do jej pracowni, zdecydowany postawić wszystko na kartę. Doktorka dezynfekowała sobie ręce w spirytusie, aby się zabrać do operacji. Przyglądał się tej funkcji, którą spełniała z powagą kapłana, przygotowującego się do uczynienia ofiary, a gdy piękne ręce wydobyte zostały z oczyszczającego płynu, zaszeptał, w oczekiwaniu na niechybną odmowę:

— Przyszedłem, aby prosić panią o jej rękę.

— Bierz ją pan! — zawołała panna i wyciągnęła ku niemu prawicę, którą ucałował, wdychając z rozkoszą jej zapach.

— Ach, jak cudnie pachnie! Jest wprost upajająca!

Panna roześmiała się i rzekła:

— Istotnie jest upajająca, bo ją trzymałam w mocnym roztworze spirytusu!

*

W kilka miesięcy później, małżonkowie powracali z Teb i Aleksandrji, przywożąc ze sobą wypchanego krokodyla, bogatą kolekcję skarabeuszy, maście i olejki należące do królowej Kleopatry oraz starożytne sprzęty żałobne, pochodzące z magazynów Lafayette.

Mąż podjął z nowym zapałem swą pracę o panowaniu Ramzesa II i Seta XIII, zaznaczając jej pewne braki, bowiem tom ósmy, streszczając wszystkie dowody, zawarte w poprzednich siedmiu, zawierał konkluzję, iż do tego czasu nie można jeszcze ustalić, za czyjego panowania miało przejście Żydów przez Morze Czerwone. W ten sposób, pozostawiając w napięciu ciekawość czytelnika, profesor zostawiał sobie furtkę, prowadzącą ku innym badaniom.

— Czy jesteś szczęśliwy w małżeństwie? — spytał go raz docent sanskrytu — czy kochasz naprawdę swoją żonę?

— Kochałem ją, — odpowiedział zagadnięty z odcieniem ironicznej melancholji, — ale potem przebyłem kurację homeopatryczną. Kochałem i cierpiałem z jej powodu. Aby dłużej nie cierpieć, poślubiłem ją. Gdy zostałem jej mężem, przestałem ją kochać! Dziś jestem wyleczony...

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (6)

Strzeszczenie poprzednich numerów:

W Nizzy, odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Przyjaciel jego Grant Slattery, ma tajną misję z ramienia Rządu Stanów Zjednoczonych. Po obiedzie u Lorda Yeovil Grant jedzie do kasyna w towarzystwie miss Zuzanny, gdzie spotykają sekretarza prywatnego lorda Artura Lymana w czułem sam-na-sam z b. narzeczoną Granta, Gertrudą von Dirs. Grant, tańczy z tancerką Cleo, która zdradza mu pewne tajemnice Japonji. W parę dni potem Grant organizuje wycieczkę morską na swym prywatnym yachcie.

— Pan mu nie wierzy? — spytała Zuzanna, zwracając się do Granta.

Grant zastanowił się przez chwilę.

Obserwował z zainteresowaniem przechadzającą się po pokładzie parę. Gertruda w całej pełni swej urody i wdzięku, bajecznie wysmukła i zgrabna, harmonijnie stąpająca i obok niej przebierający krótkiemi nóżkami Blunn, stanowiący groteskowo - śmieszny kontrast.

— Nie wiem, jak pani odpowiedzieć... Nasz ambasador powiedział przed wielu laty, że nigdy nie należy ufać Niemcowi, chyba że już leży w grobie.

Lord Yeovil uśmiechnął się:

Mimo to mam dziwną słabość do tego Blunna. Żałuję, że nie jest politykiem. Wolałbym, żeby on siedział ze mną przy stole na kongresie niż Lutrecht... Cóż powiedzieliby państwo, gdybyśmy zagrali w tej chwili w bridża? Moglibyśmy przecież zagrać na pokładzie.

Przechodzący w tej chwili Blunn zatrzymał się:

— Czy mówił tu ktoś o bridżu?

— Pan Blunn jest fanatykiem bridża — zadeklarowała Zuzanna. — Grant, czy zechciałby pan tymczasem dotrzymać mi towarzystwa?

Grant podniósł się z miejsca i odszedł z Gertrudą. Tymczasem steward przygotował wszystko do gry. Zuzanna patrzała za nimi. Nagle poczuła, że spoczął na niej wzrok Blunna.

— Lady Zuzanna i ja gramy przeciw dwum jakimkolwiek partnerom — zaproponował jowialnie. — Niech mnie pani zawsze podtrzymuje, gdy będę grał „dwa bez atu", a ręczę pani, że zabierzemy całe pieniądze, jakie się tu znajdują.

Mówiąc między nami i ja posiadam yacht tych rozmiarów co „Szara Dama", lecz leży w porcie Kiel. Nie mogę się nim posługiwać przez naszych socjalistów.

— Socjaliści! — zawołał lord Yeovil. — Ależ przecież już nic o nich nie słychać.

— Wyemigrowali wszyscy do Niemiec — odparł Blunn... Dwa bez atu... Czuję, że lady Zuzanna przyniesie mi dużo szczęścia. —

ROZDZIAŁ IX.

Do rozmowy z Grantem wybrała Gertruda zaciszne miejsce na statku:

— To było nadzwyczaj miłe z pana strony, Grant, że zaprosił pan nas na taką śliczną wycieczkę i że pozwolił mi pan przyprowadzić Blunna. Obawiał się trochę spotkania z lordem Yeovil.

— Nie rozumiem czemu — odparł Grant. — Przecież sam mówił, że nie znosi polityki i wszelkich spraw poważnych.

— Tak jest istotnie. Lubi przedewszystkiem ludzi, mężczyzn, kobiety, wszystko jedno. Każda nowa osoba go interesuje. Ma niezliczoną ilość przyjaciół wśród mężczyzn, a liczba jego znajomych kobiet jest wprost skandaliczna. —

— Robi wrażenie bardzo skromnego człowieka. Patrząc na niego i słuchając, go wydaje się niemożliwe, że to ów sławny Korneljusz Blunn, o którym tak dużo się mówi i pisze, że to ten wielki kapitalista, tak znakomicie czuwający nad skomplikowanemi organizmami nowych kolosalnych przedsiębiorstw.

W tej chwili podszedł do Granta steward z jakąś zapisaną karteczką papieru.

Grant spojrzał na nią i dał człowiekowi przyzwalający znak oczyma.

— Musimy odejść Gertrudo. Kapitan prosi mnie o skontrolowanie marszruty. Obiecałem lordowi Yeovil, że będziemy w Monte Carlo około dziesiątej. Ja też mam jeszcze na dziś wieczór wyznaczone małe spotkanie.

— Cóż to takiego?

— Jakiś drobiazg — zapewnił ją.

Zeszli ze schodów, przyczem Grant zamienił kilka słów z kapitanem.

— Męczą mnie ci wszyscy ludzie — rzekła nagle Gertruda. Czy nie przeszedłbyś ze mną, Grant, do pokoju muzycznego. Zagrałabym ci coś na fortepianie.

Zaprzeczył ruchem głowy. Artur Lymane obserwował ich z daleka a Róża Lancaster siedziała sama na fotelu.

— Niestety — szepnął — jestem tu gospodarzem.

— Wobec tego poflirtuję z Arturem — zagroziła.

— Już i tak pani to dziś robiła — zauważył szorstko.

— Cóż za nonsens! Kpię sobie z niego. Zarozumiały smarkacz, który grzeje się w słońcu swego mistrza i zwierzchnika. Sam udaje wielkiego dyplomatę.

Tymczasem Zuzanna skończyła robra i ponieważ zastąpiła ją Róża Lancaster, podeszła do Granta:

— Chcę panu podziękować za śliczny pomysł zaproszenia nas na tę wycieczkę. Jest tak miło i ojciec tak dobrze się czuje. Może przez chwilę zapomnieć o swych kłopotach.

W tej chwili zaczęły trzaskać drobne błękitne iskierki przy instalacji telegraficznej.

Grant zaniepokoił się: — Aparat działa. Zdawało mi się, że odłączyłem go całkowicie.

Lrod Leovil zatrzymał podniesioną do góry kartę i spojrzał z ciekawością w górę:

— Wolałbym być ministrem na dworze królowej Elżbiety. Wtedy miałbym pewność, że mogę przez kilka godzin, na wodzie, używać kompletnego wypoczynku.

— Och! Nie ty, ojczulku. Uważałbyś wtedy prawdopodobnie za konieczne, aby ją zabawiać we wszystkich wolnych od pracy chwilach.

— Moje wiadomości z historji są może zbyt słabe, ale zdaje mi się, że królowa Elżbieta nie gustowała zbytnio w starych wdowcach — odciął się ojciec córce.

Operator aparatu iskrowego zbliżył się do lorda Yeovil i wręczył mu jaką wiadomość. Kiedy oddalił się premjer spojrzał w stronę Gertrudy i rzekł: — Moja wiadomość jest najzupełniej oficjalna i prawdopodobnie zainteresują panią, księżno. Jest to depesza z Berlina, którą Andreos przysłał tu do mnie. Baron Katina opuścił wczoraj Berlin i przyjeżdża do Nizzy, aby zająć miejsce barona Nagi. Towarzyszy mu książę von Dirs.

— Otto! — zawołała Gertruda. — To możliwe, gdyż mąż mój zna świetnie język japoński, który poznał podczas kilkakrotnych swoich wyjazdów do Tokio.

— To wyjaśnia sprawę kompletnie — zauważył lord Yeovil — Katina ma opinję wielkiego dyplomaty, lecz podobno rozpoczął dopiero studja języków europejskich. Książę przybywa z nim prawdopodobnie jako tłumacz.

Twarz Gertrudy zmieniła się na chwilę tak dalece, że była zaledwie przystojna. Patrzała w stronę Granta.

Zuzanna oceniła bystro sytuację i uśmiechnęła się chytrze:

— Cóż za katastrofa — szepnęła.

Reszta towarzystwa, racząca się cocktailami nie zauważyła tej niemej sceny. Blunn pełen entuzjazmu dla gospodarza pił kilkakrotnie jego zdrowie.

Tymczasem podano obiad. Kuchmistrz Granta przeszedł tego wieczora samego siebie. Przy wyszukanych i rzadkich potrawach, stawały się humory coraz znakomitsze. Tylko Artur Lymane stawał się coraz bardzie melodramatyczny i usiłował coś na stronie szeptać do Gertrudy, którą te zaloty zaczęły niecierpliwić:

— Drogi chłopcze — rzekła wreszcie cichutko. — Czy nie rozumie pan sytuacji? Nie mogę już dłużej flirtować z panem. Mój mąż może tu przyjechać za kilka godzin i muszę koniecznie doprowadzić się do porządku.

— Może to pani przecież uczynić jutro.

— To mi nie wystarczy. Muszę zapomnieć o was obu: i pana i Granta. Mam na to zaledwie 24 godzin czasu. Mój mąż jest człowiekiem bardzo zazdrosnym a ja bardzo obowiązkową żoną. Muszę być kompletnie pozostawiona sama sobie. Pozatem... obiecałam panu Slattery, że będę z nim jadła obiad jutro wieczorem, a ja zasadniczo nie łamię danych obietnic.

— Sądziłem, że ja będę mógł pani towarzyszyć tego ostatniego wieczoru.

Do rozmowy, która stawała się oficjalna wtrącił się Blunn. Przedstawił towarzystwu piękny projekt spędzenia jutrzejszego wieczoru na wspólnym obiedzie, który miał zamiar wydać na cześć towarzystwa z „Szarej Damy". Układał już program atrakcyj, lecz Gertruda akcentowała stanowczo, że musi ten wieczór spędzić z dawnym przyjacielem.

Rozmowa ta nie była dla Granta bardzo przy-

jemna i oświadczył, że kazał na pokładzie podać czarną kawę i likiery:

— Zbliżamy się do przystani w Monte Carlo. Mamy cudną, księżycową noc i przepiękny widok na oświetlone wybrzeże. Niech panie nie zapomną zabrać swych okryć, gdyż noc może być chłodna.

Wśród ogólnej wesołości, opuszczono zbytkownie urządzony pokój jadalny. Grant zbliżył się Zuzanny, która wzięła pod ramię młodego Lancastra i udawała, że zatopiona jest w rozmowie z nim.

Obietnice Granta nie zawiodły. Zdala odcinała się linja wybrzeża, zaiskrzona szeregiem świateł. Migotało to wszystko jak miljony gwiazd. Można już było rozpoznać przepięknie iluminowany gmach Casina, który jarzył się od świateł. Dochodziły nawet już odgłosy muzyki z sal koncertowych.

Zuzanna i Bobby zapatrzyli się w fosforyscencję morza.

Artur Lymane zbliżył się do Gertrudy z filiżanką kawy:

— Czy to już pani nieodwołalne postanowienie ten jutrzejszy wieczór.

— Oczywiście. Nie powinien pan się dziwić. Pan Slattery jest moim najdawniejszym przyjacielem, pozatem jest bardzo interesujący i mówi o rzeczach, które mnie bawią.

— A ja? czy nie staram się zabawić pani?

— Jeżeli mam być zupełnie szczera, to nie. Jest pan jeszcze bardzo młody i zdaje się panu, że jako sekretarz premjera musi się pan drapować w płaszcz tajemniczości i rezerwy. Boję się wciąż pana dyplomatycznych odpowiedzi.

— Błagam panią... Proszę w takim razie dziś wybrać się ze mną na kolację. Będę mówił o wszystkiem, co panią interesuje.

— Dziś jeszcze? — zawahała się Gertruda. — Czy nie będziemy zbyt zmęczeni?

— Nie, księżno. Wypocznie pani jeszcze ze dwie godziny i wstąpię po panią około północy. Czy dobrze?

Gertruda zastanawiała się przez chwilę, wreszcie przyzwoliła:

— Miły chłopiec z pana, Lymane. Już ustąpiłam, ale czy będzie pan pamiętał o swej obietnicy?

— Z całą pewnością — odrzekł Artur z zachwytem w oczach.

W tej chwili „Szara Dama" dobijała do przystani.

ROZDZIAŁ X.

Grant udał się tego samego wieczoru do restauracji Carlton, o północy, zgodnie ze spotkaniem, które wyznaczyła mu Cleo w tajemniczej kartce. Sale były jeszcze puste. Podszedł prosto do stolika tancerki, która siedziała sama i przywitała go nikłym uśmiechem.

— Pozwoli pani? — zapytał.

— Oczywiście... Tylko, widzi pan, zmieniłam zdanie. Nie mam panu właściwie nic do powiedzenia.

Dał znak kelnerowi i zamówił wino.

— Zdaje się, że źle zrobiłem, pani wina nie lubi. Czy można zamówić jeszcze ulubiony pani napój, to znaczy herbatę?

— Jest pan bardzo uprzejmy, aż do skrępowania. Zapewniam pana raz jeszcze, że naprawdę nie mam już panu nic do powiedzenia.

— Czy będę bardzo natrętny, jeżeli zapytam czemu? Przybyłem tu przecież na pani żądanie.

— Kobieta ma prawo być niekonsekwentna. Zmieniłam zdanie, gdyż Itash t. j. Sammy zmienił swój stosunek do mnie.

— Cóż? Już zerwał z tą małą dziewczynką z Café de Paris?

— Tak. Skończył już z nią wszelkie obrachunki. To była jakaś fantazja, przez nią sprowokowana. Zamiast gadać głupstwa, powinnam ją była odrazu zabić.

— Dobrze pani zrobiła, że stało się inaczej. Nie miałbym przyjemności siedzenia teraz z panią w Carltonie. Chociaż zwiodła mnie pani. Miała mi pani wyjaśnić, jakie niebezpieczeństwa czyhają na moją ojczyznę, a teraz zostawia mnie pani na koszu.

— Fantazja! Wszystko, co mówiłam było kłamstwem i oszczerstwem.

— Nie wiem, jak istotnie sprawy się przedstawiają — rzekł sącząc powoli wino z kielicha — w każdym razie niezupełnie pani teraz wierzę.

— Dlaczego?

— Bo rozmawiałem wczoraj z hrabią Itashem. Doszedłem do wniosku, że ten młody człowiek jest bardzo rozsądny i nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogłaby pani się czegokolwiek od niego dowiedzieć. W każdym razie coś się w tym kryje. Pani sobie od tak ze mną flirtuje.

Spojrzała na niego na pół ironicznie, na pół z zachwytem.

— Jeżeli mam być zupełnie szczery — ciągnął dalej — to wogóle zagadkowe z pani stworzenie. Nie jest pani dosyć efektowna, aby być tancerką w tym lokalu. Mam wrażenie, że nie tańczy pani nawet z „manjerą" tancerki. Ma pani właściwe cechy, które działają bezpośrednio na zwykłego mężczyznę. I dla tego właśnie zatańczy pani chyba ze mną jeden taniec, zanim rozczarowany wrócę do hotelu.

Uśmiechnęła się swym szczególnym uśmiechem. Po skończeniu tańca odszukali dwa miejsca w zacisznym kąciku baru.

— Gdybym nie była tak zakochana w Sammym, to zdaje się wolałabym pana, rzekła z wdziękiem.

Jaka szkoda, że użyła pani tu trybu warunkowego — westchnął. — Nie jestem pewien, czy on wogóle tego wart.

— Jeżeli jakiś mężczyzna jest wart kobiety, to napewno nigdy nie zwróci ona nań uwagi. To zawsze się zdarza.

— Wygłasza pani aforyzmy.

— Nie jestem tak całkowicie pozbawiona inteligencji, jak się panu wydaje. Sammy przez jakiś czas kochał mnie w sposób beznadziejny. Jeżeli teraz przestanie mnie kochać i zwróci uwagę na kogoś innego, zniszczę go całkowicie. Obecnie jest znów dla mnie bardzo miły i czuły, i dlatego pożegnamy się teraz, panie Amerykaninie. On pana nie lubi i byłoby niedobrze, gdyby nas tu teraz spotkał razem.

Grant podniósł się z miejsca i pochylił się nad jej ręką.

— Mademoiselle — rzekł. — Myślę że to jeszcze nie wystarczy. Niewątpliwie będzie bardziej po pani myśli, gdy opuszczę całkowicie restaurację.

— Gdyby pan był tu w kółku swoich znajomych, nie miałoby to najmniejszego wpływu na sytuację.

Grant opuścił w zamyśleniu restaurację i udał się w stronę Casina. Ominął Corde privé i wszedł do ogólnej sali. Przy jednym ze stołów rzucił luidora. Przegrał. Powtórzył stawkę i wygrał. Gdy odwrócił się na chwilę spostrzegł, że stoi za nim hrabia Itash.

— Pan jest człowiekiem, któremu wiedzie się w życiu — zauważył Japończyk.

— Taka gra to tylko mała cząsteczka życia — odpowiedział Grant.

Oczy hrabiego Itasha nabrały z poza okularów dziwnego blasku.

— Widzi pan... Jeżeli kieruje pan swem życiem przy pomocy mózgu dzień za dniem i rok za rokiem, to zamienia się ono powoli w garstkę szarego pyłu. Jeżeli jednakże zrobi pan z życia grę, to wtedy stanie się ono i emocjonujące i fascynujące, choć może jest i mało szans wygrania.

— Filozofja u progów Casina — zauważył Grant uśmiechając się. — Nie zatracił pan całkowicie swego orjentalizmu w Berlinie i w Londynie.

— Nauczyłem się tylko bardziej jeszcze go cenić — odpowiedział hrabia spokojnie.

—Bez niego można najwyżej czołgać się po ziemi, a w tym świecie potrzeba instynktu akrobaty. Czy zechciałby pan zjeść ze mną kolację w Carltonie, panie Slattery? Pewna młoda kobieta czeka tam na mnie. Zdaje się, że jest ona i pana znajoma — dodał z uśmiechem.

— Z największą przyjemnością — zgodził się Grant. — Przyszedłem tu jedynie dla tego, że nie miałem co robić ze sobą...

Przeszli do Carltonu. Cléo siedziała wciąż jeszcze sama przy stole. Obserwowała obydwuch panów, gdy wchodzili. Itash był bardzo ceremonjalny.

— Zdaje się, że zna pan już pannę Cléo? — zwrócił się do Granta.

— Owszem, skorzystałem tu już kiedyś z oficjalnego stanowiska pani w tym lokalu — pospieszył Grant z interwencją — i tańczyłem z panią.

— W takim razie pozwoli mademoiselle, że się przysiądziemy do niej. Ale pani ma już znów wino na swoim stole. W jaki sposób się to stało?

Grant spojrzał na butelkę wina, którą zamówił przed chwilą, i w której było jeszcze trzy czwarte napoju.

— To zamówili panowie, którzy ze mną tańczyli — rzekła szybko Cléo. — Gospodarz lokalu prosił mnie, abym tego nie odmawiała.

(D. c. n.)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

1. Logogryf krzyżówkowy (rozwiązanie)

K O A O S P P T A W I R N K A
O S P A | M O S T | O S I K A | P R O C A | I S K R A | K A M A S Z
S T A N I S Ł A W P E T K I E W I C Z P A A W O N U R M I
Z A R A Z A | A R A | I G O | T O N | A L A | A A R | D A M A Z Y | A L
L M D A S Ś N L N Ć A A A K

G I T A R A
A L B I N
P R Y M A S
A M U R
N I E B U
O T O K
W A G O N

I N D Y G O
E A K
I N N E
P I E R N I K I
A I M E I Z
N A R Ó D
I D Y L L Ę
E R B

A więc baczność, uwaga, panowie i panie, będzie konkurs na zadań rozwiązanie.

NAGRODY

za rozwiązanie zadań z N-ru 4 otrzymują pp.: Aleksandra Pawłocka, Eugenja Szydlukowa, Mieczysława Krauze z Warszawy; A. Wiśniewska, Tarnopol, ul. Wesoła 5, Wanda Sokołowska, poczta Wesoła koło Warszawy; Mansweta Stefanowska z Warszawy.

KONIKÓWKA

ułożył Pyka Wiktor, Bielsko (Śl).

			ja			
nim	ko	wić	przysz	przesz	ob	szczę
le	łe	ca	ją	śli	i	kie
cham	chcę	ko	te	wić	u	ród
je	nia	dzi	ły	łem	wszyst	ra
za	co	do	po	mio	na	nicić
chcę	go	świat	ty	pod	w	na

Ruchem konika szachowego odczytać wyjątek z dzieła Adama Mickiewicza.
Za rozwiązanie 3 książki beletrystyczne (do rozlosowania)

Rozwiązanie zadań z Nr. 4.

Zagadka:
L A M A.

Logogryf:
A N A N K E
W I C I
I W A N
Ę N N A
C E S A R Z
B R O D Ą
A R A B I
C Z E R W
Z E Z
N A G O
O R D E R
S I E Ń
C Y T R A
U K Ł A D
W A R S Z A W A
A P A S Z

WIELKI KONKURS ROZWIĄZAŃ

W następnym t. j. 9-ym N-rze rozpocznie się nasz wielki wiosenny konkurs rozwiązań.

Konkurs obejmować będzie zadania z sześciu kolejnych N-rów „7 dni", od N-ru 9-go do N-ru 14-go włącznie.

Zadania, włączone do konkursu, oznaczane będą jako „konkursowe".

W każdym z wymienionych N-rów zamieszczony będzie numerowany kupon.

Warunkiem uczestniczenia w konkursie jest nadesłanie do redakcji wszystkich sześciu kuponów.

Wszystkie rozwiązania oraz kupony nadsyłać można łącznie t. j. w jednej zapieczętowanej kopercie, nie później jednak niż w 10 dni po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego t. j. w dn. 16 kwietnia b. r.

W dn. 23 kwietnia w lokalu redakcji odbędzie się w obecności Czytelników losowanie nagród.

Nagrody rozlosowane będą pomiędzy Czytelnikami, którzy rozwiążą wszystkie zadania konkursowe.

Specjalne nagrody pocieszenia otrzymają ci z pośród Czytelników, którzy nie rozwiążą jednego z zadań konkursowych.

Rozwiązania i kupony nadsyłać należy pod adresem redakcji w kopertach zapieczętowanych z napisem „Konkurs rozwiązań".

NAGRODY

Wśród Czytelników, którzy wezmą udział w „Konkursie rozwiązań" i rozwiążą wszystkie zadania, zostaną rozlosowane cenne nagrody.

Dokładny spis nagród zostanie ogłoszony w 10-ym N-rze.

Szereg dodatkowych nagród stanowić będą książki beletrystyczne.

Wynik konkursu na rozwiązanie „zadania spostrzegawczości" zostanie ogłoszony w N-rze następnym.

PIĘKNA BRZYDULA

(Przyczynek do teorji względności)

Różnie, bardzo różnie bywa na świecie. Ponoć pod tem słońcem już wszystko było, i podobno nudna historja przywykła się powtarzać. A jednak ludzie są tak rozmaici i wyprawiają nieraz takie „historje", że mimo wszystko wnoszą w życie wiele bardzo zajmujących rzeczy, kłócą się o nie, prowadzą dyskusje i powodują ruch, ten ruch, który bodaj jest życiem samem.

A więc... ruch. A więc niema nic stałego, i pojęcie piękności kobiecej jest również płynne i zmienne. Oczywiście, szczególnie dzisiaj. Dobra czy zła, piękna czy brzydka — przestały być ustalonemi określeniami, niemal wszystko zależy dziś od tego: — gdzie — jak — dlaczego! Pocieszmy się zresztą, że nie jest to żadną nowością, i że szanowna, nudna historja dostarcza nam pod tym względem bardzo ciekawych przykładów.

Brzydkich, zdecydowanie brzydkich kobiet, za któremi jednak szaleli mężczyźni, było bardzo wiele, a co najciekawsze to to, że w oczach kochanków uchodziły one za zdecydowanie piękne. Najwidoczniej otaczał je jakiś czar, jakiś urok jakaś niecodzienna, przyciągająca siła, która sprawiała, że oczy mężczyzn nie widziały brzydkich rysów twarzy, potwornych ust, krzywych ramion i t. p. Zmysły kochanków pętało i niewoliło coś innego. Co to było?! Nudna historja powiada nam, że to był **temperament!**

Znamy np. niezwykłą historję tancerki Marji Taglioni. Ojciec jej był również tancerzem, i ta „brzydka dziewczynka" gwałtownie chciała nauczyć się tańczyć. Śmiano się z niej, dokuczano, lecz nauczono. I oto Marja Taglioni przybywa do Paryża, i zdobywa Paryż. Olbrzymi rozgłos toruje jej wszędzie drogę. „Towarzystwo" szaleje za nią. Współczesny jej pamiętnikarz pisze: „.... że jedna tancerka potrafiła zrobić w sztuce tanecznej rewolucję, która do dziś dnia trwa, to jeszcze można zrozumieć, ale że ta właśnie tancerka, ta rewolucjonistka, była kobietą brzydką, a może nawet odpychającą, to już wydaje mi się niemal cudem".

Zaś cała rewolucja, którą Taglioni przeprowadziła, polegała na zaniechaniu poważnego i ciężkiego tańca klasycznego, który w stolicy świata od czasów Napoleona panował niepodzielnie, a na wprowadzeniu form lekkich i zwinnych, aż do dzikiego, bachicznego tańca włącznie, które to formy i dziś jeszcze się utrzymały. Tancerki klasyczne występowały w obfitym stroju, w rozmaitych ozdobach i „draperjach", — Marja Taglioni wystąpiła w zwiewnej, białej sukni — i rewolucja była dokonana.

Z Paryża udała się „rewolucjonistka" do Monachjum, gdzie „shołdowała" samego króla-poetę, i gdzie nowe święciła triumfy. Nie trzeba się temu dziwić. W tych, naprawdę pięknych, romantycznych latach niemiecka, przysłowiowa ciężkość i zachowawczość mocno osłabły, i prądy nowe szybko jednały sobie licznych zwolenników. Ale „Sylfidę" ciągnęło do Paryża. Wraca, i występuje ze wspaniałym baletem, który już z jej nazwiskiem związany zostanie, który otworzył jej wrota sławy, bogactwa, rozkoszy. Dumny Paryż leży u jej nóg. Otaczają ją artyści, malarze, kompozytorzy, poeci. Wielki Victor Hugo poświęca jej książkę. Staje się modną. Panie z towarzystwa czeszą się i ubierają tak, jak ona, cały Paryż ją zna, cały Paryż z zachwytem powtarza: „Ona tańczy tak, jak śpiewa ptak".

Lecz oto zjawia się... rywalka. Jest młodszą od Taglioni o całe siedm lat, jest piękna i zwinna, i posiada w dodatku „piekielny" temperament. Nazywa się Fanny Elster. Rozpoczęła się gorąca walka. Paryż, Monachjum, Wiedeń i inne stolice podzieliły się na dwa obozy. Taglioni zwyciężyła. Piękną Fanny zgubił jej temperament. Była ona wobec „czystej, spokojnej" Marji istnym „szatanem zmysłów i pokusy".

Teraz udaje się „czysta" Marja do „dziewiczej" Rosji i tam osiąga szczyt powodzenia i sławy. Car Mikołaj I został tak „pokonany", że sam osobiście pomagał przy inscenizacji baletu, a w czasie przedstawienia nie zajął swej cesarskiej loży, lecz siedział w pierwszym rzędzie krzeseł, aby „być bliżej". Triumf przeszedł wszelkie oczekiwania. Ludzie poprostu poszaleli. Nikt nie widział brzydkich oczu i ust, krzywych ramion i innych wad ciała, wszyscy widzieli tylko „boską" tancerkę! Nawet kobiety! Nawet kobiety upewniały, że to nieprawda i fałsz i oszczerstwo: Marja Taglioni nie ma zadługich rąk i nóg.

„Boska" tancerka przepędziła w Rosji całe pięć sezonów. Nikt nie policzył tych klejnotów, kosztowności, pereł, złota i srebra, które tam zebrała. Niejeden książę, niejeden arystokrata wydał pono więcej, niż mógł. Ale nim się to wyjaśniło, „boska" i mądra tancerka opuściła Rosję na zawsze, i udała się do Londynu. I tu towarzyszy jej powodzenie. Bierze niebywałe honorarja, a kiedy w trzy lata potem — w pełni sławy — chce opuścić scenę, nie pozwalają na to sprytni dyrektorzy teatrów. Organizują nowy balet, w którym obok Taglioni wystąpić mają także trzy nowe gwiazdy. Rzecz się udaje znakomicie. Ponoć tylko przy „prezentacji" zaszło małe nie porozumienie, gdyż każda z gwiazd pierwsza chciała wystąpić na scenę. Rozstrzygnięto sprawę

MLEKO OŻYWIA CERĘ

W poprzednich artykulikach, wymieniłem niektóre przestarzałe, bezwartościowe metody pielęgnowania urody, które i dziś jeszcze odgrzebują zagraniczni fabrykanci, polecając je ogółowi. Czytając przeto zagraniczne czasopisma, zaleca się poskromienie łatwowierności. Zresztą — zbyteczne jest odgrzebywanie kosmetyków z średniowiecza, wobec postępu lekarskiej kosmetyki. Nawet niektóre środki „domowe" okazały się skuteczne dla cery. I tak, okłady z przegotowanego, ciepłego mleka w kombinacji z „Mleczkiem - Lityną" D-ra Lustra mają wybitny wpływ ożywczy na cerę. Okład zostawia się przez 10 minut, poczem wyciera się twarz wacikiem napojonym „Lityną". Wystrzegać się zadrażnienia skóry zagranicznemi kosmetykami, zwłaszcza metalicznym pudrem. Prawidłową cerę myć gorącą wodą i mydłem śmietankowem D-ra Lustra, tłustą — proszkiem marmurowym „Miraculum", a suchą — otrąbkami migdałowemi D-ra Lustra. z pudrów jedynie polecić mogę: wykwintny puder egzotyczny D-ra Lustra.

Dr. Z. B.



Taniec bachiczny, jaki dziś najczęściej spotykamy obok t. zw. rosyjskiej szkoły baletowej

na korzyść „boskiej" Marji, lecz trochę złośliwie: „Oczywiście, najstarsza ma pierwszeństwo..."

Niedługo potem Taglioni porzuciła scenę. Wyczerpał się jej czar, temperament i pomysłowość, a przeklęta brzydota została. Zmarnowane także zostały zdobyte miljony, i „boska" niegdyś Marja nauczaniem tańca zarabiać musiała na niewesołe życie. Jakiś czas bawiła w Londynie, poczem na stałe osiadła w Marsylji, i tu, w zupełnem zapomnieniu, umarła, mając lat 84.

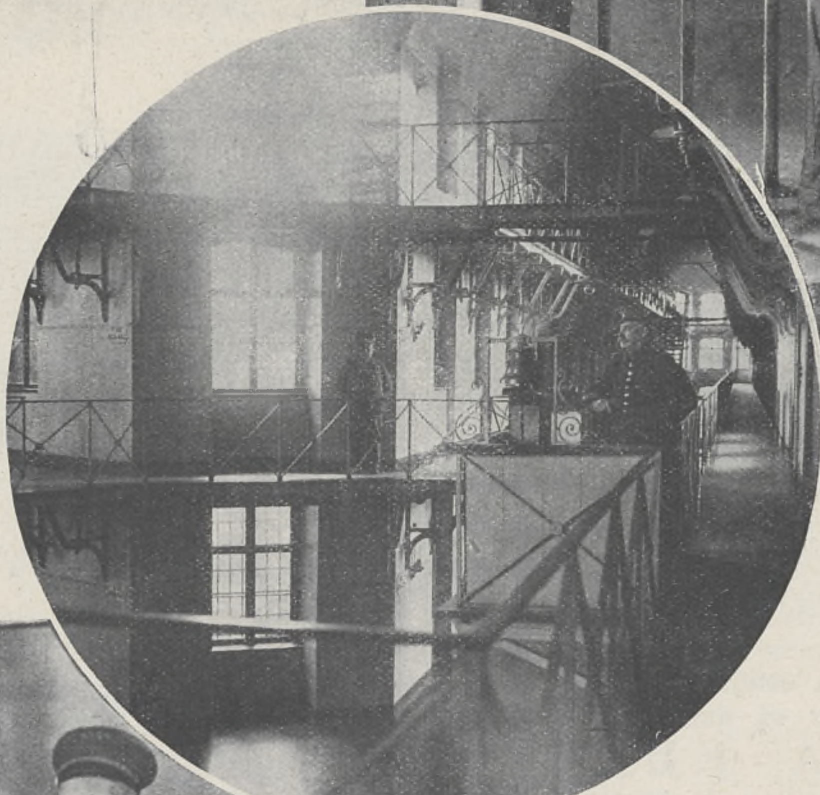
Krewny, który zamknął jej oczy, powiedział: „Oto stara, stara kobieta, która nigdy nie była piękną, a która lata całe rządziła w świecie Piękna..."

Wiktor Przecławski.

AMERYKA NIE JEST RAJEM...
(Krwawe bunty więźniów w Stanach Zjednoczonych)







Pobyt w więzieniu amerykańskiem nie należy bynajmniej do przyjemności. Surowa dyscyplina, aż nazbyt często zamienia się w bezwzględną brutalność. Dozorcy więzienni stosują ostre represje wobec skazańców, którzy, doprowadzeni do rozpaczy, organizują krwawe bunty, zabijają strażników w nadziei, że uda im się wydostać z tego piekła.

W ciągu sześciu ubiegłych miesięcy w jednym stanie New Yorku formalne walki ze skazańcami miały miejsce w trzech różnych więzieniach, w innych stanach bitwy te odbywają się z mniejszą lub większą regularnością.

Dnia 11grudnia roku ubiegłego aresztantom w więzieniu Auburn udało się rozbroić straż więzienną, otworzyć wszystkie cele i opanować kilka budynków. Szybko przybyła odsiecz policji i wojska, otoczywszy zbuntowanych więźniów, w zajętych budynkach, uniemożliwiła im wydostanie się na zewnątrz.

Między więźniami, a policją wywiązała się regularna bitwa, którą przerwało wysłanie przez więźniów delegacji, mającej na celu rozpoczęcie pertraktacji o zawieszenie broni. Otoczeni więźniowie zakomunikowali policji, że zatrzymają jako zakładnika, naczelnika więzienia, którego postanowili zabić, o ile nie zostaną wypuszczeni na wolność. Władze atoli nie miały zamiaru pertraktować. Wolały się chwycić innej — radykalniejszej broni. Aeroplany przywiozły z pobliskiego New Yorku łzawiące bomby oraz kilkanaście karabinów maszynowych. Walka rozgorzała na nowo. 1.754 więźniów nie łatwo dając za wygraną, przez wiele godzin stawiło opór, nie dopuszczając oblegającej policji i wojska do okien więzienia. Po zlikwidowaniu zajścia okazało się, iż organizatorem tego buntu był niejaki Pawlak, obywatel amerykański, skazany na dożywotnie ciężkie więzienie. On to, pierwszy rzucił się na naczelnika więzienia i rozbroiwszy go pod groźbą jego własnego rewolweru, zmusił do zarządzenia otwarcia bram. Obywatel Pawlak — rzecz prosta — niewiele miał do stracenia, wolał więc narazić się na śmierć, niż dożywotne więzienie, dlatego też nie chciał wdawać się w pertraktacje z wydelegowanym przez policję kapelanem więziennym, który go namawiał do poddania się.

Bunty nie są niespodzianką dla dozorców, którzy zawsze przeczuwają, iż „coś wisi w powietrzu". Oto naprzykład na wiele tygodni przed wybuchem buntu, naczelnik więzienia Auburn powtarzał kolegom, iż wydaje mu się, że siedzi na wulkanie, który lada dzień eksploduje.

Bunty zawsze kończą się śmiercią kilkunastu osób z pośród dozorców, do których więźniowie czują specjalną nienawiść. Bunt w więzieniu Auburn pociągnął za sobą śmierć 8 więźniów i 3 policjantów. Nikomu jednak z aresztowanych nie udało się zbiec.

Przed trzema miesiącami w więzieniu stanowym w Canon City, Colorado, 400 skazanych na dłuższe kary, pod dowództwem niejakiego Danny Daniels, w ciągu paru minut rozbroiło straż więzienną i opanowało cały gmach. Pierwszą ich czynnością było powieszenie kata więziennego, który właśnie znajdował się w tym gmachu celem dokonania egzekucji. 16 osób z pośród urzędników więzienia zamknięto w jednej celi w charakterze zakładników, jeden tylko został wypuszczony, gdyż, jak się okazało, więźniowie czuli do niego specjalną sympatję. Wyniósł on na rękach do otaczającej policji, ciało dogorywającego kolegi, którego egzekucja odbyła się z rozkazu Danny Daniels'a.

Policja zamierzała pierwotnie zburzyć gmach więzienia ogniem artylerji, od takiego jednak ognia zginęliby również wszyscy zakładnicy, dlatego też użyto gazów trujących i samochodów opancerzonych. Po paru godzinach walki kapelan więzienny doczołgał się do otoczonego budynku i z narażeniem swego życia umieścił w przedsionku więzienia



Gwoli zapewnienia więzniom maximum rozrywek, urządzono wzorowe czytelnie, orkiestry i t. p., nie mniej jednak więźniowie skarżą się na brutalne traktowanie ich przez nadzorców i wolą raczej śmierć od siedzenia za kratami. (U dołu na lewo scena z ostatniego krwawego buntu więźniów w Auburn.).

minę, zawierającą 50 funtów dynamitu, mina wybuchając zniszczyła tylko część budynku, pięciu zaś organizatorów buntu popełniło samobójstwo, zabijając przedtem 7-miu zakładników.

Władze amerykańskie są poprostu bezradne, delegują one najlepsze komisje złożone z profesorów Uniwersytetów i rzeczoznawców, celem zbadania stanu faktycznego, ale mimo to ilość buntów więziennych nie zmniejsza się. Jedna z tych komisji pod nazwą „National Association for Penal Prevention" dopiero niedawno stwierdziła, że bezpośredniemi powodami rewolty, są wyroki na bezterminowe więzienie, brutalność dozorców i pozbawienie skazańców wszelkiej nadziei poprawienia swego losu.

Amerykanie sądzą, że zaradzą złemu przez przez budowę nowych gmachów więziennych. Przystąpiono już nawet do wybudowania kosztem 7 miljonów dolarów wielkiego więzienia, w Buffalo, które będzie pozbawione kluczy, wszystkie zaś cele będą zamykane zapomocą ścieśnionego powietrza. Ma to jakoby zapobiec kradzieży kluczy przez więźniów. Luksusowe wprost łaźnie, czytelnie, chóry i orkiestry — wszystko to ma rzekomo poprawić byt więźniów — przyszłość pokaże, czy panowie eksperci nie powinni w pierwszym rzędzie zająć się reformą personelu więziennego.

Dr. A. C.

Wśród książek

Max Dauthendey — Ziemia płonąca. — Przekład Józefa Wittlina. — Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa 1929 — Str. 320.

Jest to typowa powieść podróżnicza, napisana żywo i zajmująco. Meksyk, wysuszony, upalny Meksyk jest tłem tej opowieści, tłem ponurem i tajemniczem, a nierzadko wstrętnem. Jakaś groza o zapachu krwi wieje od tych miast, lasów, pól i wulkanów, które opisuje autor. Nic radosnego, nic pocieszającego!

Główny bohater powieści, pisarz Rennewart, przeżywa różne niesamowite przygody, traci ukochaną kobietę, która ginie od kuli opryszka, i wreszcie złamany i chory ucieka do Europy!

Nie powiem, żeby mnie ta powieść zachwyciła. Zajmuje, tak, — lecz nie przekonywa. Zdaje się, że autor, te płomienie ziemi płonącej, zbyt już jaskrawo odmalował.

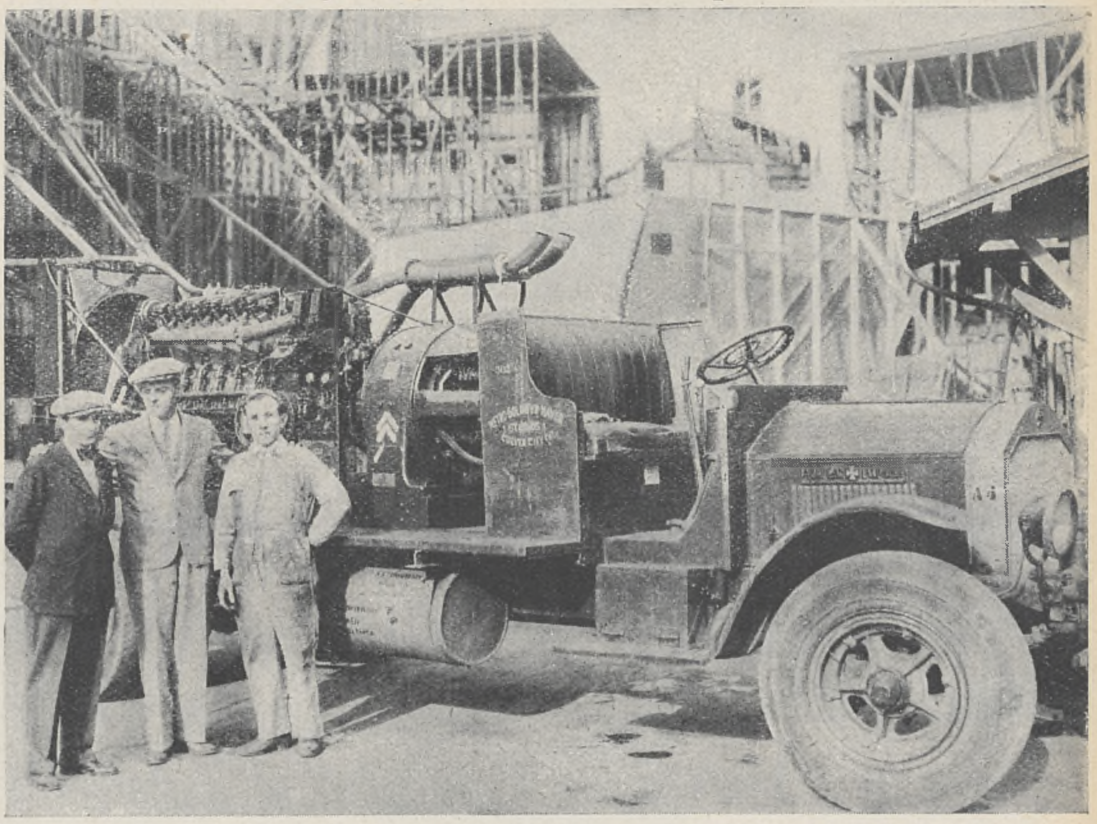
Czesław Latawiec — Dziady Adama Mickiewicza. — Nowe oświetlenie problemów. — Poznań 1929 — Jan Jachowski — Księgarnia Uniwersytecka — Str. 136.

P. Czesław Latawiec, posługując się w swych, bardzo interesujących badaniach, nie nową, lecz już wypróbowaną, metodą naukową, dochodzi jednak do nowych, i wcale ciekawych wyników. Stwierdziwszy, że „Dziady" do dziś dnia należą do t. zw. utworów niezrozumiałych, i że krytyka oficjalna cały szereg problemów pomija milczeniem staje na stanowisku, „że wszystko w danym utworze może i musi być wytłumaczone, choćby dlatego, że przez człowieka było napisane" i próbę wytłumaczenia „Dziadów" śmiało podejmuje. Dzieli swą pracę na dwie części, z których druga, poświęcona Dziadom drezdeńskim, przynosi nowe rozwiązania tajemnic improwizacji, numeracji „Dziadów", a także widzenia ks. Piotra.

Wykład autora prosty i przejrzysty. Wyniki, do których dochodzi, na nowych argumentach oparte. Książka ze wszech miar ciekawa.

Wiktor Przecławski.

TO TAMTO I OWO



Nakręcanie filmów egzotycznych, wymaga często przeniesienia całej wytwórni z zacisznego Hollywoodu w dzikie tereny. Na fotografji widzimy ekspedycję Metro do centralnej Afryki.

CIASTO Z MOTYLI

Ostatecznie niema w tem nic zdrożnego...

Jeśli możemy jeść bardzo „pachnące" sery lub „skruszałą" dziczyznę, to czemużby nie spróbować ciasta z motyli... Aby móc się jednak rozkoszować tym przysmakiem, należy odbyć dość daleką podróż — do Sidney.

Albowiem tylko w Australji występuje w olbrzymich ilościach motyl Bogong (Agrotina — rodzaj szaro-czarnej sówki) nadający się do sporządzania tego smakołyku. Bogong pojawia się zazwyczaj niespodziewanie w postaci dużej, ciemnej chmury (jak szarańcza).

Tak np. pewnej niedzieli, przedpołudniem, obłok taki osiadł na kościele św. Tomasza w Sidney. Musiano przerwać nabożeństwo. Cały plac przed kościołem był pokryty motylami. Tramwaje stanęły. Ludzie wywracali się, poślizgując się na zmiażdżonych ciałkach motyli, odznaczających się dużą zawartością tłuszczu. Motyle przenikały wszędzie; koło samych tylko okien kościelnych opadło ich z pewnością kilkadziesiąt tysięcy.

Tubylcy zbierają owe motyle łopatami i sypią na wielkie sita i przetaki, w których suszą je nad ogniem, potrząsając silnie. Dzięki potrząsaniu odpadają skrzydła, macki, nóżki i włoski. Wówczas dopiero dobrze wysuszone, niemal że podpieczone odwłoki rozciera się na mączkę, z której przygotowują bardzo podobno smakowite ciasto.

Dr. E. S.

KORZYŚCI DORAŹNE Z RAKIETY MIĘDZYPLANETARNEJ.

Ewentualna podróż w sfery międzyplanetarne przestała być tematem beletrystów, stając się w ostatnich czasach przedmiotem obliczeń fizyków, astronomów i inżynierów, badających tymczasem warunki, w jakich podobna eskapada mogłaby dojść do skutku.

Zanim jednak przyjdzie okres możliwości wizyt na Marsie lub księżycu (miejmy nadzieję, że obywatel polski nie będzie już zmuszony wykupywać kosztownego paszportu) zainteresowano się usługami, jakie rakieta międzyplanetarna, a właściwie aparaty oparte na jej systemie, mogłyby okazać ludzkości w terminie bliższym.

Okazuje się np., że rakieta taka, wyrzucona na wysokość 30 — 40.000 kilometrów, i zaopatrzona w odpowiednie przyrządy rejestrujące, mogłaby przynieść wiele cennych wiadomości meteorologom.

Dalsze udoskonalenia rakiety, mogłyby stosunkowo doprowadzić ją do stanu środka komunikacyjnego już nie w przestworzach kosmicznych, ale — skromnie — w sferach atmosfery silnie rozrzedzonej np. na szlaku Paryż — N. York. Podróż taka trwałaby zaledwie kilka godzin, pozwalając zmęczonym *businessman'om* z Wall-Street zdążyć na upartego do opery paryskiej na wieczór...

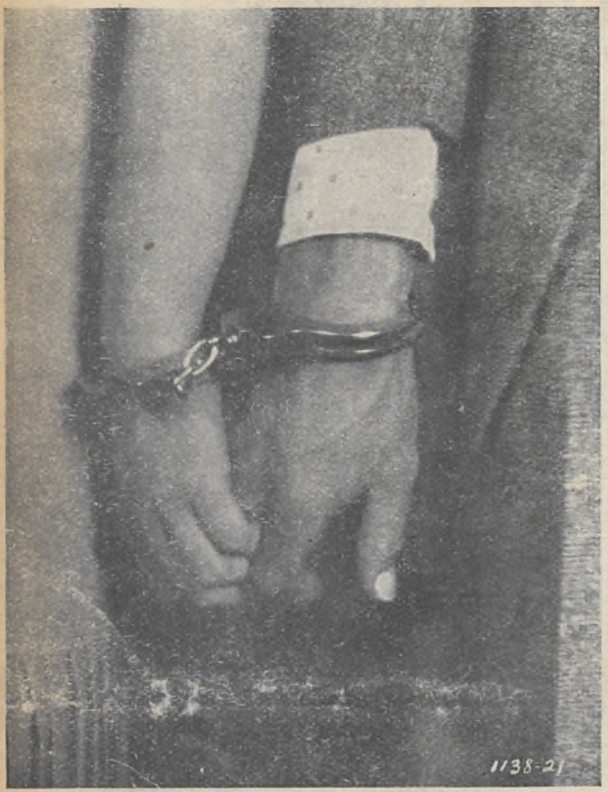
Rakieta również może zastąpić doskonale katapulty, służące do szybkiego wyrzucania aeroplanów w powietrze, przy starcie.

Coś podobnego zastosował Junkers w roku zeszłym.

Wreszcie rakieta może stać się przyrządem bezpieczeństwa na aeroplanach, zabezpieczającym od straty prędkości: kilka kilogramów paliwa, którego bliżej jeszcze nie znamy, spalone w rakiecie, może uratować aparat i lotnika w chwilach krytycznych.

Sądzimy, że nie należy pominąć milczeniem jeszcze jednej pośredniej korzyści, której rakieta jest mimowolną przyczyną. Jest nią wzbudzone zainteresowanie się kosmografją i mechaniką wśród szerokich sfer inteligencji, które, bądźmy szczerzy, nie posiadają naogół zbyt wiele wiadomości w tych dziedzinach.

Z. K.



ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Twarz męża rozjaśnia się jedynie późnym wieczorem, gdy spogląda na kołyskę z uśpionym dziecięciem. Lecz wkrótce i tu opuszcza go spokój.

Patrzy podejrzliwie na rysy niewinnego dziecięcia. Chwyta niemowlę na rękę, przykłada jego twarzyczkę do swojej twarzy i długie godziny spędza w tej pozycji przed lustrem. Potem z głębokim szlochem udaje się do sypialni żony, by wyjść stamtąd jeszcze bardziej ponurym i rozgoryczonym.

Tak żyje mąż aż do dnia, w którym zostaje wreszcie zabity przez zazdrosnego kochanka.



(fot. Fox. Metro.)

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

M.

MĄŻ.

Człowiek posępny i ponury, który wygląda tak, jakgdyby żałował, że się ożenił.

Mąż ma fabrykę, w której się kręcą koła niewiadomego użytku maszyn. Chodząc pomiędzy robotnikami mąż ciężko pracuje na kawałek chleba.

Charakter męża jest podejrzliwy i melancholijny. Złem okiem patrzy mąż na własną żonę, na jej rachunki od krawcowej. Patrząc na wiszące w przepokoju cylindry i narzutki gości, zastanawia się, który z nich należy do przyjaciela domu.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podł ug ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.